BIBLIOTEKA Filia Białystok

wielki tydzień 4–5

odkurzanie tradycji 8–9

palmowa w łysych fotoreportaż 10

daleko do siódmego nieba 11

ludzkie słowo wrednym ryjom 13

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

15
(42)
KONTAKTY
19 IV 1981
Cena 4 zł

Fot. GABOR LÖRINCZY

toast wielkanocny

O panowie! niech los w dani
Przyniosi nam dużo zysku:
Bądźmy zdrowi i rumiani,
Jak to prosię na półmisku.

Człek na radość sieć zarzuca.
Ale smutki zwykle łowi,
Niech spokoju nic nie skłóca
Nam — jak temu indykowi.

Niechaj każdy będzie syty,
Zdrów i wesół — i nie słaby
Miejmy wygląd znakomity,
Jak te placki oraz baby.

Niech nie znęca się nad nami
Los chorobą, ani zgonem,
Jak na przykład my dziś sami
Znęcamy się nad święconem.

Na ostatek wasz poeta
Śle życzenia tej godziny:
Niech obejdzie się ta feta
Bez dostojnej... medycyny.

(Z literatury humorystycznej XIX wieku).

polski dylemat

probierz umykającego spojrzenia

nadzieje i zwątpienia

BRONISŁAW GOŁĘBIOWSKI

W zawierusze kryzysu, jaki przeżywamy, umyka z pola widzenia wymiar pokoleniowy toczących się wydarzeń. Widzimy jasno rolę klasy robotniczej jako promotora sierpniowego protestu, wynikłej z niego umowy społecznej oraz obecnych poczynań, zmierzających do ugruntowania socjalistycznej odnowy na trwałym fundamencie demokracji w jej robotniczym rozumieniu i odczuciu. Dostrzegamy rolę klasy chłopskiej — pozornie bardziej biernej, jakby wyczekującej w porównaniu do klasy robotniczej — zasadniczą przez fakt egzystencjalnego znaczenia problemu wyżywienia narodu dla wyjścia z kryzysu nie tylko ekonomicznego. Różnie reagujemy na rolę studentów, a więc tej części młodego pokolenia, która zawsze była barometrem nastrojów i niepokojów całego społeczeństwa; choćby z racji właśnie studiów i aspiracji do przyszłej pozycji intelektualno-organizatorskiej w społeczeństwie. Inteligencja po raz pierwszy nawet nie aspiruje w większej mierze do roli ideologicznego przywódcy ruchu, słusznie zadawalając się — niemałą przecież i jej właściwą — rolą eksperta, doradcy i propagatora idei odnowy. Mam na myśli — rzecz jasna — inteligencję identyfikującą się z duchem i literą umowy społecznej: państwo-robotnicy, a więc ogromną jej większość, pomijając pewną biurokratyczno-technokratyczną jej część, jawnie czy skrycie przeciwną robotniczej idei demokracji socjalistycznej.

Nie ulega wątpliwości, że ta klasowa baza odnowy ma znaczenie zasadnicze. Dopiero w jej ramach można rozpatrywać sposób i motywacje życiowe uczestnictwa w ruchu społecznym, który Stanisław Ehrlich nazwał „*rebelią w ramach systemu i praworządności*" („Kultura", nr 13/81). Mając to na

CIĄG DALSZY NA STR. 6—7

„OBEJMUJĄC URZĄD prezesa Rady Ministrów oświadczyłem z tej wysokiej trybuny — powiedział WOJCIECH JARUZELSKI podczas posiedzenia Sejmu — iż oddam się do dyspozycji w każdej chwili, zwłaszcza gdy rząd nie będzie mógł spełnić oczekiwań. Taka chwila nadeszła. Działanie w obecnych warunkach — bez potwierdzonego wolą Sejmu i niezbędnymi uchwałami społecznego zaufania — jest wręcz niemożliwe. [...] Trudno jest funkcjonować normalnie w przejawiającej się w różnych punktach gorączce przedstrajkowej. W tej sytuacji rząd wnosi o uchwalenie przez Wysoki Sejm zawieszenie akcji strajkowych na okres dwóch miesięcy; MIECZYSŁAW RAKOWSKI: „Polski kryzys musi się zakończyć możliwie jak najszybciej. Trzeba nad tym pracować od dziś, od zaraz! Nikt nie oczekuje, by polityczna aktywność milionów Polaków zamieniła się w stojącą wodę, w ciepłe kluchy, a uzasadnione postulaty znalazły się w katalogu nigdy niespełnionych życzeń. Nie o to chodzi."; EDMUND OSMAŃCZYK: „Jako jeden z seniorów polskiego dziennikarstwa mam podstawę do wydawania fachowej oceny o naszych głównych środkach przekazu. Otóż ta ocena nie wypada dobrze. Za dużo informacji niepełnych, zdeformowanych, ufryzowanych, opóźnionych, przez to jątrzących, denerwujących, rozgoryczających czytelników, słuchaczy, telewidzów. [...] Przyczyna jest ta sama, która gnębi nasze dziennikarstwo od końca lat czterdziestych i trwa po dziś dzień. Oto najważniejszy i najwrażliwszy instrument dialogu rządu ze społeczeństwem był i jest kierowany z reguły przez polityków nie mających żadnego stażu dziennikarskiego, a zatem żadnych umiejętności dziennikarskich. Mimo to żyjących jednak w zdumiewającym — przez tyle dekad — zadufaniu, że oni tylko znają najlepiej kurs marszu wyznaczonego przez partię i twardo, pryncypialnie decydują za swych partyjnych dziennikarzy, nie mówiąc już o bezpartyjnych: co, kiedy i w jakiej formie ma być przekazane, w ich przekonaniu, wciąż niedojrzałej politycznie masie czytelników, słuchaczy i telewidzów, budujących już 36 lat socjalizm w tym kraju."

„ODNOWA CAŁOŚCIOWA i przełomowa jest jednocześnie reformą, która musi naruszyć potężne interesy tych części aparatu administracyjnego i politycznego, które są zrośnięte z dotychczasowym sposobem kierowania gospodarką i całym krajem. A tam, gdzie narusza się potężne interesy, występuje i potężny opór. [...] Jest to typowa reakcja na innowacje ze strony tych, którym innowacja ta zagraża" — pisze LESZEK BALCEWICZ w artykule „Koszty i efekty reformy" („Życie i Nowoczesność" nr 560), lansując m.in. tezę o konieczności zniesienia nakazowo-rodzielczego sposobu zarządzania oraz przebudowy całej struktury organizacyjnej, szczególnie szczebla centralnego.

„OD SIERPNIA wszyscy wzdychamy do wyjścia z kryzysu, a nogi coraz bardziej nam grzęzną. Co było zresztą do przewidzenia. Nie mieliśmy wówczas i nie mamy dziś szans na rychłe wyjście, istnieje tylko twarda i nieodwracalna konieczność wchodzenia w prawdziwie ciężki kryzys ekonomiczny. Nikt jednak nie chce nazywać takich rzeczy po imieniu. Nie chce być w rządzie upadku, chciałby od razu znaleźć się w rządzie odrodzenia" (z wypowiedzi ZBIGNIEWA MADEJA). MARIAN KRZAK: „Dziś już we wszystkich oficjalnych wystąpieniach mówi się wyraźnie, że będzie coraz gorzej. [...] Staczamy się do dna i biedę mamy dopiero przed sobą. A mówiąc o szansach, mam na myśli możliwość zbudowania w Polsce po raz pierwszy systemu ekonomicznego z prawdziwego zdarzenia. Takiego systemu, który odpowiadałby charakterowi tego kraju, jego strukturze gospodarczej, a także i polskiej mentalności"; WŁADYSŁAW SADOWSKI: „W opinii społecznej funkcjonują mity, które spychają w kierunku pragnień daremnych, oczekiwań nieziszczalnych. [...] Istnieje jeszcze wiara w łatwość uruchamiania rezerw produkcyjnych, łatwość uruchamiania potoków masy towarowej. Wystarczy usłyszeć wiadomość o pomocy z zagranicy, a już widzi się cały sznur pociągów z żywnością, tylko jakaś niewidzialna ręka je zatrzymuje." Interesującą dyskusję pt. „Nawet w kryzysie tkwią szanse", drukuje „Życie Gospodarcze" (nr 15).

A Z ODNOWY w polskim
Październiku
Cóż zostało?
Może tylko chwila,
Kiedy w pustce zwalonych
pomników
„Sto lat" grzmiało na placu
Defilad...

Po odnowie w Grudniu — został
slogan.
Wypłukane przez deszcz i śnieg
hasła
I ochroniarz o twarzy buldoga.
co brał kwiatki. Wąchał. I nie
kąsał...

Nauczono nas patrzeć na ręce
Dziś, gdy trzeciej Odnowy
półmetek —
Musi po niej pozostać coś więcej
Niż garść słów i z plastiku
plakietek...

wiersz Ryszarda Marka Grońskiego („Szpilki" nr 15)

„MOŻEMY ZAOSZCZĘDZIĆ 200 mld rocznie" — udokumentowane poparcie tego tytułowego stwierdzenia podaje Ignacy Brach w „Innowacjach" (nr 13). Autor twierdzi, że jest to do osiągnięcia w ciągu 1—2 lat.

A TYMCZASEM „Rdza schrupała w magazynach maszyny za 4 mld. złotych" — donosi „Kurier Polski" (nr 69), dodając, że nie jest to podsumowanie całego „rogu obfitości".

„SKĄD BRAĆ węgiel?" — zastanawia się Tomasz Jeziorański („TL" nr 85) przedstawiając w artykule pod tym tytułem problemy związane z naszym górnictwem. Na zakończenie konkluzja: „W tej chwili cena tony węgla wynosi niespełna 500 zł, tj. ponad dwa razy mniej niż koszt wydobycia oraz tyle, ile butelka spirytusu. Jest to od dawna utrzymujący się absurd, gorzko ilustrujący nasz podświadomy szacunek dla węgla."

DLACZEGO były I sekretarz KC jest dalej członkiem partii? — Na pytanie to odpowiedział Kazimierz Barcikowski („Życie Warszawy" nr 33) podczas spotkania z aktywem mieleckiej WSK: — Wyszliśmy z założenia, że partia nie zyska nic, jeśli owego b. I sekretarza obciążonego dużymi błędami potraktuje tak samo, jak Jaroszewicza. Można z tym stanowiskiem polemizować. Zauważcie towarzysze, że niedługo nie będziemy mieli historii partii, bo co sekretarz, to odchodzi w jakichś szczególnych okolicznościach.

„NA WĄSY WITOSA" zaklina Leon Bójko — by rolników i rolnictwo traktować poważnie, bez pozorowania działań (w artykule dyskusyjnym na łamach „Życia i Nowoczesności" nr 560). Pisze: „Gdyby zaś ksiądz Staszic wstał z grobu i popatrzył na to, co teraz poniektórzy panowie nazywają kółkami rolniczymi, to by ich przeklął imieniem świętego Izydora, patrona rolników. Ale nikt nie mówił politykom z miasta, że w kółkach rolniczych się kotłuje, że zebrania wiejskie wcale nie przebiegały tak gładko, jak to donosili funkcjonariusze CZKR, że zjazdy gminne bywały bardzo burzliwe, zjazdy wojewódzki ciągnęły się do świtu następnego dnia, że w bydgoskim nie z innego powodu, jak z powodu kółek, wytworzyło się napięcie o krajowym rozgłosie (a województwo bydgoskie to właśnie ojczyzna pierwszych polskich kółek rolniczych)."

DELEGATEM na zjazd NSZZ „Solidarność" zostanie 1 spośród 10 tys. członków związku.

„Nie JESTEŚMY i nie chcemy być monopolistą — stwierdza w „rozmowie dnia" („Życie Warszawy" nr 84) redaktor naczelny Polskiej Agencji Prasowej Janusz Roszkowski. — Rzeczywiście, w minionym okresie były informacje, na które PAP miał monopol. Dotyczyło to wszystkich oficjalnych komunikatów. Ale my również nie byliśmy ich autorami, po prostu — otrzymywaliśmy je do rozpowszechniania."

PRZEDPŁATY na wyroby przemysłowe, szczególnie poszukiwane, stały się faktem. Terminy wyznaczają wojewodowie. Nabywając towar wartości 11 tys. złotych wpłaca się 100 proc., o większej — tylko 50 proc. Utworzono tzw. rezerwę 15 proc. ogólnych dostaw z myślą o młodych małżeństwach, osobach niepełnosprawnych oraz ewentualnych reklamacjach.

PO KILKUMIESIĘCZNEJ przerwie przystąpiono znów do eksploatacji roponośnych złóż w Karlinie.

punkt widzenia

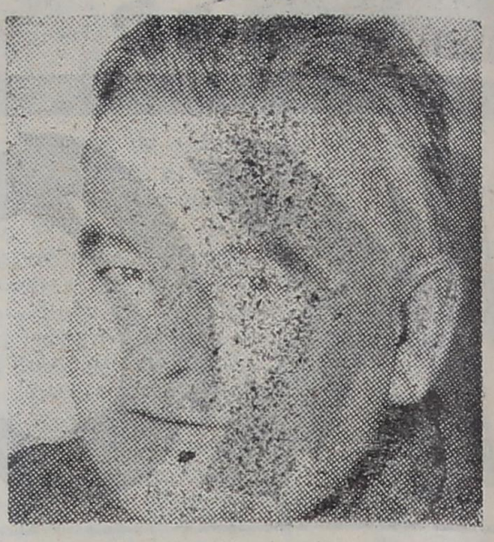

Dno czy jeszcze niżej

Po okresie propagandy sukcesu krystalizują się obecnie dwie szkoły: realistyczna i katastroficzna. Tę ostatnią wyznają autorzy radiowego maratonu „W Jezioranach". W ciągu półgodzinnej audycji potrafią stwierdzić, że nie ma czym orać i siać, palić i nawozić, że kartki na mięso to fikcja i samorząd rolniczy też. Słuchają tego ludziska i aż ręce zacierają. Ale im dołożyli — komentują radiosłuchacze, nie zadający sobie trudu odpowiedzi na pytanie: komu?

Otóż właśnie — komu? Konstatacja wcale niewesołych faktów, podanych w odpowiednio czarnowidzkim sosie, niewiele załatwia, co najwyżej może pogłębiać frustrację i zniechęcenie.

Możemy bez końca wyliczać i przypominać, czego nie ma lub brakuje. I akumulatorów, i ogumienia, i nawozów i pestycydów, i mięsa i węgla. Można listę wydłużać w nieskończoność. Ale dla mnie bardziej pożyteczny byłby inny tok myślenia. Diagnoza — czy jesteśmy już na dnie, czy jeszcze niżej? Czy kryzys będzie się pogłębiał, czy znajdziemy z niego wyjście, zależy od obiektywnego i wnikliwego określenia stanu gospodarki, a nade wszystko — odpowiedzi na pytanie: czy przestały już działać, czy zostały skutecznie wyeliminowane mechanizmy powodujące dysproporcje, fetyszyzujące plan dla planu, produkcję dla produkcji?

Jestem zwolennikiem zasady uświadomionej konieczności. Rzetelna wiedza, to połowa sukcesu. I dlatego za pustosłowie uważam stwierdzenie, że nie ma akumulatorów czy działaniem będzie wskazanie, czy coś się w tym względzie robi, czy też nie. Czy branżowe zjednoczenia i resorty — póki jeszcze istnieją — odwróciły niekorzystny trend, wywarły przysługującą im presję na producentów, czy też jeszcze raz udowodniły swoją zbędność?

Nie mam najmniejszej wątpliwości, iż „oderwanie się od dna" uzależnione jest od definitywnego odcięcia pępowiny woluntaryzmu i głupoty lat siedemdziesiątych. Nie jest to operacja prosta. Mamy do czynienia z określonymi przyzwyczajeniami i — co tu mówić — układami, z wygodnictwem i nieuctwem, z dyrygowaniem zamiast argumentacji.

Niektórzy nawet mówią: kto się na to porwie? Otóż to. W tej niewierze tkwi największe niebezpieczeństwo. Zawsze tak jest, że jeżeli nie odezwą się z odpowiednią mocą zdrowe siły społeczne, to wtrącać będą swoje „trzy grosze" ci najmniej pożądani — bądź zwolennicy starego, ukrywający się pod kusą pelerynką odnowy, bądź „gniewni", a nie mniej groźni, którzy ruszyć z posad świat by bardzo chcieli, ale z budowaniem są wyraźnie na bakier.

Wniosek? Oderwanie od dna zależy od nas wszystkich. Proste? Ale bardzo trudne.

JERZY BIELECKI

zdarzenia

KONIECZNOŚĆ utrzymywania stałej więzi kierownictwa z organizacjami partyjnymi, konsekwentne oczyszczanie szeregów partyjnych z ludzi o niewłaściwych postawach moralno-etycznych i ideowo-politycznych, zapewnienie obiegu pełnej i rzetelnej informacji, to główne wnioski napływające od podstawowych ogniw partyjnych. Omawiano je na posiedzeniu egzekutywy KW PZPR poświęconym określeniu zadań po IX Plenum KC, a także na spotkaniu członków Wojewódzkiej Komisji Przedzjazdowej.

„ŁOMŻYŃSKI ZESZYT LITERACKI", prezentujący dorobek miejscowego środowiska twórców — już w księgarniach. Jego wydawcy: WDK i Łomżyński Klub Literacki. Zawiera m.in. wiersze i opowiadania Aldony Borowicz, Andrzeja Jastrzębca-Kozłowskiego, szkic Zenona Piechocińskiego o Wincentym Lutosławskim i Franciszku Fiszerze.

PODWYŻKA CEN SKUPU — prawie o czterdzieści procent — na produkty rolne i zwierzęce stała się faktem. Komentują ją łomżyńscy rolnicy: TADEUSZ GOŁASZEWSKI z gminy Kołaki Kościelne: — Nowe ceny nie są złe, choć w stosunciedlają jeszcze wszystkich kosztów. ku do hodowli świń nie odzwier- Za metr mieszanki płacę tysiąc złotych, a jedna świnia zje je przeciętnie cztery metry. Doliczyć jeszcze ziemniaki, to koszty karmienia może się zwrócą, ale pracę przy tym musimy już wykonać gratis; STANISŁAW KĘDZIELAWSKI z gminy Zambrów: — Teraz przynajmniej opłaca się nosić żarcie tym świniom. Ale znów — tylko tak długo, dopóki ceny na pasze przemysłowe nie skoczą za wysoko; MIECZYSŁAW GOSIEWSKI z gminy Kołaki Kościelne: — To jeszcze nie jest pełna regulacja cen. Podnieśli na żywiec, zboża, w lipcu podniosą na drób i pisklęta, to pewnie i cena mieszanki pójdzie w górę. Wszędzie powiadają, że chłopu będzie teraz strasznie dobrze. Chciałbym, żeby tak było naprawdę; ALEKSANDER GAWRYCHOWSKI z gminy Wizna: — Obecne ceny może faktycznie ruszą z martwego punktu nasze rolnictwo. Dały w każdym razie zachętę do zwiększenia produkcji. Może też rolnik nie będzie już musiał szukać opłacalnych roślin przemysłowych, bo teraz nie kalkuluje mu się uprawa czterech podstawowych zbóż, które sprowadzamy z zagranicy. Ale jeśli chcemy mieć więcej cukru, to trzeba gminnej służbie rolnej wybić z głowy kukurydzę za którą agituje, a wbić — burak cukrowy. Bo z niego jeszcze lepsza pasza, cukier, a i niespodzianek mniej.

SPOTKANIAMI Z MŁODZIEŻĄ grajewskich szkół TERESA SUKNIEWICZ, JANUSZ SIDŁO i ZYGMUNT SMALCERZ zainaugurowali Wojewódzkie Dni Olimpijczyka. Ich rozpoczęciu towarzyszyły także liczne imprezy sportowe: turniej zapaśniczy w stylu klasycznym o Puchar Naczelnika Miasta (zwyciężyli młodzicy „Warmii" Grajewo), bieg uliczny z udziałem około 1000 osób. Kilkunastu działaczom wręczono Dyplomy Honorowe Polskiego Komitetu Olimpijskiego. Jana Steca uhonorowano odznaką „Za zasługi dla woj. łomżyńskiego".

KOLEJNY ODCINEK „Brata naszego Boga" Karola Wojtyły ukaże się za tydzień. Przepraszamy.

ŁOMŻANIN, KTÓRY DWUKROTNIE UDZIELAŁ GŁOSU LENINOWI

W związku z nieporozumieniem na temat tożsamości dr. Mieczysława Czarneckiego na zamieszczonej fotografii w 5 nr. „Kontaktów" Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej, Oddział w Łomży, pragnie zająć stanowisko w tej sprawie, ponieważ tygodnik, jako pismo społeczno-polityczne, redagowane w woj. łomżyńskim, ma dużą siłę oddziaływania na swoich czytelników.

Wystąpienie p. Henryka Cieśluka na łamach 10 nr. „Kontaktów" było dla nas przykrym zaskoczeniem. Nie wdając się w szczegółowe wyjaśnienia błędów, popełnionych przez autora, oraz użytych nieodpowiednich zwrotów, pragniemy wyjaśnić tę sprawę nowo zamieszkałym obywatelom miasta Łomży. Zaznaczamy, że problem został szeroko omówiony przez Zarząd i członków Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej, jak też współpracowników dr. Mieczysława Czarneckiego sprzed 1939 r. i okresu okupacji niemieckiej.

Fotografia znajduje się w zbiorach Archiwum Państwowego w Łomży, została własnoręcznie podpisana przez dr. Mieczysława Czarneckiego. Wykonał ją w Łomży w 1936 r. St. Lucenko, fotograf łomżyński, o czym świadczy pieczęć na odwrocie: „St. Lucenko — Łomża". Przedstawia defiladę, która odbyła się w Łomży 11 listopada 1936 r. z okazji 18 rocznicy odzyskania niepodległości Polski. Maszerującą grupę weteranów, „niepodległościowców-rewolucjonistów z 1905 r." (jak nazwał ich sam dr Mieczysław Czarnecki) prowadzi najprawdziwszy, zasłużony działacz polityczny i społeczny, dobrze znany w Łomży w okresie międzywojennym, dr Mieczysław Czarnecki. Uroczystość odbywała się na pewno w Łomży, a oto dowody:

1. Pochód przechodził ulicą Żwirki i Wigury (dawna Szosa Ostrołęcka, a dziś Wojska Polskiego). Czoło grupy zbliża się do ogrodu zwanego „Spacerniakiem" — dziś Park Miejski.

2. Z lewej strony widać na zdjęciu, tuż za grupą dr. Mieczysława Czarneckiego, budynek wzniesiony w 1925 r., dziś pod nr. 4. Mieszczą się tam urzędy i sklep tekstylno-odzieżowy „Konsumy".

3. Po prawej stronie jest budynek kina, dziś „Millenium", a wtedy „Reduta" Czochańskiego, łączący się z restauracją „Pod Koniami", a dalej dach, zniszczonego w 1944 r., Starostwa Powiatowego.

4. W głębi, na horyzoncie, kościół ewangelicki, zburzony przez Niemców w 1944 r. Na prawo od kościoła widoczny budynek, w którym na I piętrze mieścił się klub żydowski „Makabi", w suterenach zaś sklep ze słodyczami i owocami „Szenkopa".

Nadmieniamy, że przed 1939 r. w Łomży, oprócz trzypiętrowej kamienicy Wejrocha przy ulicy Krótkiej, było jeszcze kilka domów trzypiętrowych, m.in. dr. Mieczysława Czarneckiego na narożu ulicy Krótkiej i Długiej (przebudowany po wojnie na dwupiętrowy), Śledziewskiego przy ulicy Sienkiewicza (stoi do dziś pod nr. 10), Dom Katolicki, obecny Wojewódzki Dom Kultury, przy ulicy Sadowej. Trzeba zaznaczyć, że Łomża przed II wojną światową miała piękną architekturę.

Uważamy, że zamieszczenie zdjęcia dr. Mieczysława Czarneckiego w liście Henryka Cieśluka mogło tylko spotęgować wartość wspomnień. Z drugiej zaś strony nie dziwmy się, iż nieubłaganie upływający czas zaciera obrazy przeżyć lat młodości — przecież od 1936 r. upłynęło 45 lat. W związku z tym nie radzimy zakładać się o „konia z rzędem". Pan Antoni Opęchowski z Opęchowa przed zabraniem głosu na łamach prasy niech lepiej zapozna się z historią Łomży, aby nie wprowadzać czytelników w błąd.

STANISŁAW OGRODNIK
— wiceprezes i 36 członków
Towarzystwa Przyjaciół
Ziemi Łomżyńskiej

W 1960 r. otrzymałam osobiście od dr. Mieczysława Czarneckiego sześć fotografii z jego własnymi adnotacjami na odwrocie. Dwie fotografie z 1936 r. dotyczą defilady z okazji święta 11 listopada w Łomży, cztery zaś — zjazdu „niepodległościowców-rewolucjonistów z 1905 r." (adnotacja doktora), który odbył się w Łomży w 1938 r. Na wszystkich zdjęciach występuje ta sama grupa osób z dr. Mieczysławem Czarneckim na czele. Według wyjaśnień doktora — grupę stanowili uczestnicy walk niepodległościowych i rewolucyjnych z własnym sztandarem. Osoby te brały udział w różnych obchodach rocznicowych, jak odzyskanie niepodległości, wybuch powstania listopadowego, styczniowego itp.

Na podstawie opublikowanej fotografii można stwierdzić, że pochód w 1936 r. odbywał się na Szosie Ostrołęckiej (obecnie ulica Wojska Polskiego). Po prawej stronie zachował się budynek kina „Millenium" (dawne kino „Reduta", a przed 1939 r. — „Vox" Czochańskiego), łączący się z dawną restauracją „Pod Koniami" (w I poł. XIX w. należącej do Wiktora Rembielińskiego i zw. „Pod Złotym Koniem"). Dalej widać gmach Starostwa Powiatowego, który został zniszczony w 1944 r. oraz I piętro budynku na narożu ulicy Długiej i Placu Pocztowego. Po lewej zaś stronie do dziś stoi budynek pod nr. 4. W oddali widnieje sylwetka dużego kościoła ewangelickiego (popijarskiego z poł. XVIII w.), zburzonego przez Niemców w 1944 r. W Archiwum Państwowym w Łomży przechowywane jest oddzielne zdjęcie wyż. wym. obiektu.

Z Redakcji „Kontaktów", jak również ich Czytelników, nie zakpiłam, ponieważ nigdy tego nie robiłam w

ciągu długoletniej pracy w Archiwum Państwowym w Łomży. Starałam się zawsze służyć radą i pomocą nie tylko pojedynczym osobom, ale również szkołom, instytucjom i urzędom oraz placówkom naukowym i kulturalno-oświatowym.

Fotografię udostępniłam na prośbę reportera „Kontaktów", który wybrał ją jako najlepszą pod względem technicznym do reprodukcji. Jej autorem jest St. Lucenko, fotograf łomżyński sprzed 1939 r., którego zakład mieścił się na ulicy Dwornej (obecnie 22 Lipca).

Mgr DONATA GODLEWSKA
kierownik Archiwum
Państwowego w Łomży.

Po przeczytaniu koresponrencji zamieszczonej na łamach łomżyńskiego tygodnika społecznego („Kontakty", 10/81), która miała być jakby sprostowaniem podpisu pod zdjęciem widniejącym przy artykule Henryka Cieśluka: „Łomżanin, który dwukrotnie udzielał głosu Leninowi", poczułam się zobowiązana do złożenia w niniejszej sprawie wyjaśnień.

Nie rozumiem tego całego sporu i robienia wokoło normalnego i oczywistego zdjęcia niepotrzebnego zamieszania. Przecież dla człowieka związanego z przedwojenną Łomżą i obdarzonego siaką taką pamięcią rozszyfrowanie tej fotografii nie powinno nastręczać żadnej trudności.

Przede wszystkim postaram się zlokalizować odbywającą się defiladę. Stwierdzam, że jest to z całą pewnością Łomża, ulica — jak kto woli — Szosowa, Żwirki i Wigury czy, obecnie, Wojska Polskiego. Trybuna usytuowana jest niedaleko bramy wejściowej do Ogrodu Spacerowego (tak wówczas nazywał się istniejący do dziś park). Z lewej strony (patrząc wprost na zdjęcie), na narożu ul. Ogrodowej, po dzień dzisiejszy stoi ten sam dom, następnie jest przerwa w zabudowie wzdłuż ulicy, a dalej widać budkę z sodową wodą tzw. „Sodówkę" (zniszczoną w czasie wojny). Następnie można rozpoznać, zachowany do chwili obecnej, dwupiętrowy dom z dwoma oknami mansardowego mieszkania w szczycie. Dalej widać dachy z charakterystycznymi wieżyczkami kina „Mirage", które uratowało się z pożogi wojennej i jakimś zrządzeniem losu zostało całkowicie rozebrane w pierwszych latach powojennych. Miejsce po byłym kinie zajmuje teraz gmach PKO.

Rozpoznanie obiektów po prawej stronie ulicy nie przedstawia żadnych trudności. Jest tam kino Czochańskiego „Reduta", przemianowane jeszcze przed wojną na „Vox", a obecnie na „Millenium", połączone z restauracją Majkowskiego „Koniki". Ostatnio nie kończący się remont zupełnie zmienił elewację kina, ponieważ zlikwidowano okna, a znaczne podwyższenie ulicy obniżyło poważnie sam budynek. Nad „Konikami" widnieje część gmachu b. Starostwa Łomżyńskiego (nie istnieje). Między budynkami widać wierzchołki drzew na placu Pocztowym i dom stojący na narożu tegoż placu i ul. Długiej (obecnie M. Buczka). W domu tym — któż by z łomżyniaków nie pamiętał — mieścił się sklep z przeróżnymi smakołykami i owocami. Właścicielem był Żyd Szenkop, a może Schönkopf, pisowni nie pamiętam, mówiło się po prostu „u Szenkopa". Zabudowa tej części placu Pocztowego uległa zniszczeniu w czasie II wojny światowej. Poza tym na zdjęciu widoczna jest przeciwległa strona, odbudowanego po 1945 r., placu Kościuszki (dawna zabudowa uległa zniszczeniu). Nad wszystkim góruje kościół ewengelicki (popijarski z XVIII wieku), który stał na skarpie przy ul. Rządowej. Został zburzony przez Niemców jesienią 1944 r. Dobrze pamiętam (a pamięć mnie nie zawodzi), że oprócz trzypiętrowej kamienicy dr. Wejrocha, na narożu ul. Krótkiej i Długiej stał trzypiętrowy dom dr. Mieczysława Czarneckiego. Na parterze tego domu mieściła się do września 1939 r. księgarnia „Świt", której właścicielami byli Wacław Cieśluk i Jadwiga Dąbrowska, brat i siostra Henryka Cieśluka. Na trzecim piętrze mieszkała Jadzia Osiecka, dziś Jadwiga Kapica — lekarz okulista — zamieszkała we Wrocławiu. Ten trzypiętrowy dom został częściowo spalony przez Niemców jesienią 1944 r., a następnie odbudowany po wojnie już jako dwupiętrowy. Następne dowody stwierdzające istnienie w przedwojennej Łomży domów trzypiętrowych można obejrzeć na własne oczy: przy ul. Sienkiewicza 10, w domu Śledziewskich, mieściła się siedmioklasowa Szkoła Powszechna nr 3, a przy ul. Sadowej — Dom Katolicki.

A teraz wrócę do samej defilady. Nie jest to żadna sanacyjna maskarada, jak to stwierdza Antoni Opęchowski z Opęchowa, ale z całą pewnością wielka manifestacja, zorganizowana w Łomży w dniu 11 listopadada 1936 r. tj. w 18 rocznicę odzyskania przez naszą Ojczyznę niepodległości. W defiladzie brało udział całe społeczeństwo łomżyńskie — wojsko, młodzież szkolna, harcerze, sportowcy, ludność cywilna.

Uchwycony na zdjęciu fragment przedstawia grupę, na czele której kroczy mój teść, dr Mieczysław Czarnecki. Obok sztandaru (jeśli mnie pamięć nie zawodzi — jest to sztandar b. więźniów politycznych) idzie Lucyna Mioduszewska, matka mojej przyjaciółki, Urszuli Zagrodnej — przewodniczącej Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej, Oddział we Wrocławiu. Na pewno p. Zagrodna poda szczegółowe wyjaśnienia dotyczące osób idących przy sztandarze, i o samym sztandarze, gdy obracała się w kręgu tych ludzi. Ponadto posiada dobrze zachowane zdjęcia, przedstawiające cały zespół tych samych osób wraz z ich sztandarem. Na pewno udowodni też, że kobietą kroczącą obok sztandaru jest jej matka.

Oburzających wypowiedzi p. Opęchowskiego, skierowanych pod adresem nieżyjącego od 12 lat mego teścia, dr. Mieczysława Czarneckiego, ze względu na pamięć oraz uczucia, jakimi Go darzyłam, nie poruszam. Jestem więcej niż pewna, że znajdą się łomżyniacy, którzy postarają się powstałe wokół omawianego zdjęcia nieporozumienia rozwikłać. Zebrany materiał na pewno będzie mógł posłużyć Redakcji do umieszczenia w „Kontaktach" odpowiedniego sprostowania w tej sprawie, za co wraz z córką, dwoma wnukami, a zarazem wnuczką i prawnukami dr. Mieczysława Czarneckiego — serdecznie dziekuję.

Osobiście jestem z Łomży, której byłam mieszkanką do końca czerwca 1945 r., bardzo uczuciowo związaną z tym miastem. Jestem członkiem Zarządu Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej, Oddział we Wrocławiu. W Łomży bywam kilka razy w roku.

HANNA CZARNECKA
z d. Wójcicka
Wrocław

polemiki

ZAPISKI Z HOTELU „SOLEC"

Wypadki w Bydgoszczy zelektryzowały cały kraj. Przez piątek i sobotę napływały sprzeczne doniesienia. Pisano rezolucje, taśmy teleksów przekazywały kolejne wersje wydarzeń, pojawiały się plakaty i ulotki w nie spotykanej uprzednio skali. Na oświadczenie premiera, generała Wojciecha Jaruzelskiego, w sprawie wznowienia rozmów, obradująca w Bydgoszczy Krajowa Komisja Porozumiewawcza NSZZ „Solidarność" odpowiedziała pozytywnie. W Warszawie szykowano się do podjęcia trudnych negocjacji. Nie uczestniczyliśmy w nich bezpośrednio, ale przez cały czas pobytu Grupy Roboczej „Solidarność" w stolicy staraliśmy się mieć kontakt z jej członkami i ekspertami w głównej kwaterze delegacji — hotelu „Solec". Oto zapiski z tych dni.

Niedziela, 22 marca

Słoneczne, prawdziwie wiosenne popołudnie. W Alejach Ujazdowskich, przed gmachem Urzędu Rady Ministrów, kilkaset osób. Mieszkańcy Warszawy i dziennikarze. Czekamy na rezultat pierwszego spotkania delegacji NSZZ „Solidarność" z Komitetem Rady Ministrów ds. Związków Zawodowych.

Atmosfera napięcia i podenerwowania. Wszyscy przyszli tu z nadzieją na porozumienie, z przekonaniem, że nie ma takich spraw, których wspólnie, przy jednym stole, nie można rozwiązać. Dzisiejsze rozmowy są trudne i negocjacje muszą się toczyć z oporami. Ten niepokój słychać w prowadzonych półgłosem rozmowach: „Co będzie, zupełnie jak w sierpniu..."

Mija kolejna godzina. Drzwi wciąż zamknięte. O 19.10 oklaski. Błysk jupiterów i fleszów rozjaśnia mrok.

— Konkretnie nic nie zostało jeszcze ustalone — mówi Lech Wałęsa. — Rozmowy są przełożone na środę.

Wszystkie pytania sprowadzaja się do jednego — czy będzie s t r a j k?

— I na ten temat nic nie mogę powiedzieć bez konsultacji i uzgodnienia stanowiska z Prezydium KKP — replikuje.

Wrażeniami dzieli się, siedzący już w samochodzie, Marian Jurczyk, przewodniczący MKZ w Szczecinie:

— Jestem trochę większym optymistą po dzisiejszych obradach niż w południe, gdy wchodziłem do tego gmachu. Prawda, dyskusja była ostra, męska, i chociaż nie zakończyła się ostatecznym rezultatem, sądzę, że z obecną ekipą rządową można się szybciej dogadać.

Za chwilę w hotelu „Solec".

Wspólnie z zagranicznymi i krajowymi dziennikarzami czekamy na komunikaty z dzisiejszych rozmów i o planowanym na poniedziałek, posiedzeniu prezydium KKP. Z kuluarów wiemy już, że negocjacje z rządem były naprawdę trudne, twarde i nie udało się wypracować wspólnego stanowiska. Nadzieję jednak budzi to, iż nie zostały zerwane, lecz tylko przełożone. Jest więc szansa na osiągnięcie porozumienia.

Stoimy w recepcji obok jedynego telefonu. Jesteśmy mimo woli świadkami rozmów z poszczególnymi MKZ-tami. Spokojnie i rzeczowo członkowie delegacji wyjaśniają wyniki dzisiejszych obrad. Przestrzegają przed podejmowaniem samodzielnych akcji protestacyjnych, chociaż stan gotowości strajkowej nadal trwa.

Zmęczenie i nam daje się już we znaki. Cierpliwie jednak czekamy na komunikat, który lada chwila ma być gotowy. W tym czasie do hotelu przybywają członkowie MKZ Mazowsze z Sylwestrem Jaworskim i Jackiem Knappem. Grupa związkowców „Solidarności" z Huty „Warszawa" zaprasza Wałęsę do siebie.

— Dziś za późno — dziękuje.

Nagła wiadomość łamie ustalony program dnia. Dziennik radiowy podaje treść Uchwały Biura Politycznego, prezentującej stanowisko wobec wydarzeń bydgoskich. Wśród delegacji zamieszanie, bieganina, a potem wewnętrzna narada. Dla dziennikarzy nie ma już miejsca. Ktoś skomentował podenerwowanym głosem: — Nie czas na komunikaty, najważniejsze jest teraz uporządkowanie naszych spraw.

Komunikat, na który czekamy, zredagowany zostaje dopiero późno w nocy: *„[...]. W dniu 23 bm. od-*

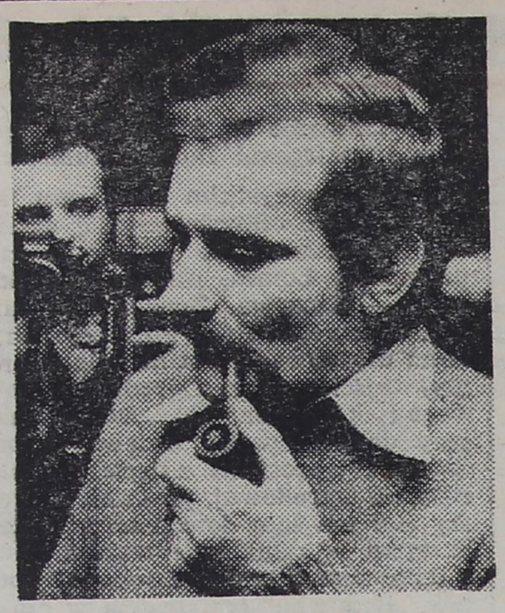

Wreszcie jest... jak zawsze w swetrze, z wyłożonym kołnierzykiem, fajką.

będzie się nadzwyczajne posiedzenie KKP w Bydgoszczy o godz. 16.00. W związku z tym prezydium KKP i delegacja MKZ Bydgoszcz zaapelowały o powstrzymanie akcji strajkowej na terenie całego kraju. Decyzję o akcji związku podejmie KKP w Bydgoszczy. Stan gotowości strajkowej trwa".

Poniedziałek, 23 marca

Dzień ten nie przynosi uspokojenia. Wiadomości, jakie docierają z Bydgoszczy, pogłębiają niepokój. Burzliwe obrady KKP, rozpoczęte o godz. 16.00, przerwano o 3.15 nad ranem. Wiemy, że kontrowersje wśród członków „Solidarności" budzi forma i termin strajku. Rozstrzygano, czy ma być powszechny, czy też najpierw ostrzegawczy, i jak w ogóle wyjść z tej sytuacji.

W komunikacie sygnowanym już datą 24 marca czytamy: *„KKP zaleca międzyzakładowym komitetom założycielskim NSZZ »Solidarność« przeniesienie ich siedzib do zakładów pracy, w których możliwe będzie kierowanie akcją w regionach".*

Wtorek, 24 marca

Najważniejsza wiadomość: z inicjatywy przewodniczącego KKP przegłosowano, w razie fiaska rozmów z rządem, najpierw strajk ostrzegawczy na piątek 27 III. Jeżeli nie wpłynie on na stanowisko rządu — od wtorku, 31 marca, strajk generalny w całym kraju.

Środa, 25 marca

Przed spotkaniem Grupy Roboczej KKP z komisją rządową w hotelu „Solec" zastajemy delegację w pełnym składzie: Lech Wałęsa, Andrzej Słowik, Marian Jurczyk i Andrzej Gwiazda oraz trzy osoby z MKZ Bydgoszcz z Krzysztofem Gotowskim, zastępującym Jana Rulewskiego. Są również eksperci: Bronisław Geremek, Tadeusz Mazowiecki mecenas Siła-Nowicki. Jest też delegat prymasa, prof. Roman Kukułowicz.

Hotelowi goście przywykli już do tej nietypowej sytuacji — codziennych wizyt dziennikarzy, toczonych półgłosem rozmów na korytarzach, gorących dysput w holu recepcji.

Przy głównym wejściu, w biało-czerwonych opaskach, straż porządkowa. Na uniformach hotelowego personelu znaczki „Solidarność". Na drugim piętrze, przed pokojem 207, kilka foteli, stolik zastawiony pełnymi popielniczkami i butelkami z wodą, bieżące komunikaty MKZ Mazowsze. Całą dobę dyżurują tam robotnicy z Huty „Warszawa". To istna zapora na drodze do Wałęsy. Towarzyszą mu również do restauracji, samochodu. Wiele trudu kosztuje też dotarcie do innych członków delegacji. Wszystko zależy od szczęścia. O, z windy wychodzi Jurczyk.

— Trudno przewidzieć, czym zakończą się dzisiejsze rozmowy — mówi pośpiesznie. — Mogę powiedzieć od siebie, że sprawa musi być pozytywnie rozwiązana. Sprawiedliwość jest jedna. Taka sama dla wszystkich. Nie wolno nikomu doprowadzić do katastrofy narodowej, a cóż złego się stanie, jeżeli ci, co zawinili w Bydgoszczy, zostaną ukarani, a praworządność będzie przestrzegana? Na rozmowy niedzielne przyjechaliśmy tylko z postulatami bydgoskimi. Dziś nie możemy zrezygnować z żadnego punktu. Załatwimy wszystko albo nic.

W recepcji — Andrzej Gwiazda. Bierze klucze do swojego pokoju.

— W zasadzie nie widzę nic do odpuszczenia w trakcie rozmów. Wyglądałoby to niepoważnie wobec członków Związku. Prawda, że czasu jest bardzo mało, ale jeśli się chce pozytywnie rozwiązać sprawę, da się to zrobić. Jeśli ktoś został pobity — dodaje — trzeba to wyjaśnić do końca. Nie pozwolimy, by miały miejsce podobne wypadki, wymierzone przeciwko Związkowi.

— Jesteśmy zawsze otwarci na inicjatywy rządu, na pełną odnowę życia w kraju — podkreślą, stojący obok, Tadeusz Mazowiecki.

Na parę minut przed 18.00 na światłach i sygnale (ale bez asysty motocyklistów) podjeżdża pod Urząd Rady Ministrów w Alejach Ujazdowskich biały fiat. Obok kierowcy — Lech Wałęsa. W ciągu kilku sekund samochód zostaje otoczony. Znika w tłumie. Co dzieje się w środku, nie wiadomo. Słychać jedynie coraz mocniejsze oklaski. Towarzyszą im błyski reporterskich fleszów. Nagle nad głowami pojawia się podrzucany Wałęsa. Ktoś krzyczy: — Leszek, trzymaj się, jesteśmy z tobą!

Wkrótce po przyjeździe Grupy Roboczej „Solidarności" przybywa delegacja rządowa z wicepremierem Mieczysławem Rakowskim. Rozpoczyna się kolejna faza rozmów. Ludzie pomału się rozchodzą. Fotoreporterzy pakują sprzęt. — To i tak potrwa do rana — mówi jeden z dziennikarzy. Rzeczywiście wydaje się, że mamy sporo czasu. Wracamy do redakcji. W telewizji zaczyna się właśnie Dziennik.

Niespodzianka. Informacja o tak błyskawicznym zakończeniu pierwszej tury rozmów zatyka wszystkich. Nie ma już nawet czasu na herbatę. Po chwili, prawie jak Wałęsa — na światłach i sygnale — jesteśmy w „Solcu". Przed oszklonymi drzwiami restauracji, w której delegacja „Solidarności" je kolację, kilkunastu podenerwowanych dziennikarzy: — Kiedy, do cholery, skończą, kiedy powiedzą choć słowo.

Wychodzi Gwiazda, lekko przygarbiony, zmęczony, z niewyraźnym uśmiechem. — Nie jest źle — mówi — aczkolwiek rząd nie zajął określonego stanowiska. To, co wygłosił pan Rakowski, jest niezrozumiałe dla 10 milionów naszych członków. Prawdziwa treść kryje się między wierszami, jest pełna insynuacji. Znowu obarcza się Związek odpowiedzialnością za obecny stan, znowu czymś nas się straszy, nie wiadomo tylko, czym. To wystąpienie nie wyjaśniło nawet bydgoskich wydarzeń.

Wreszcie jest Wałęsa. Jak zawsze — w swetrze, z wyłożonym kołnierzykiem i z fajką w ustach. Błyskawicznie oblegają go dziennikarze.

— Raport ministra Bafii — wyjaśnia — nie jest do przyjęcia. Nas interesują konkretne wnioski, które są podstawą do dyskusji. Nie było wniosków, nie było i sensu przedłużać rozmów. Szkoda tylko czasu. Jesteśmy gotowi do dalszych negocjacji, które na pewno będą kontynuowane. Nie jestem złej myśli. Polak z Polakiem, jestem przekonany, powinien się dogadać.

Ta odpowiedź nie wystarcza. Czekamy pod drzwiami z numerem 207.

— Jest jeszcze czas na uniknięcie strajków — uspokaja Wałęsa. — Jako robotnik widzę powagę sytuacji — zaciąga się fajką — pamiętam o odpowiedzialności. Czekamy na jasne propozycje rządu, których dziś zabrakło. Dlaczego znów tak długo to trwa, dlaczego nie można znaleźć rozwiązania, zanim to wszystko tak urośnie? Nie byłoby tylu punktów zadrażnień, gdyby inni działacze rozumieli sytuację, ale kiedy znaleźć czas na szkolenie, tłumaczenie, jak mamy działać. A może zorganizować spotkanie przed kamerami TV przedstawicieli „Solidarności" i rządu? Jasno powiedzieć i wyjaśnić swoje stanowiska. To by było szkolenie błyskawiczne i dla wszystkich. Bydgoszcz to sygnał, że wszystko zaczyna się od nowa. Ja w Gdańsku mogłem postulować o zmianę tych, którzy mnie zatrzymywali, bili i karali, mimo wszystko, dla dobra sprawy, tego nie zrobię. Trzeba podać rękę. Rzeczywiście zarzuca się nam, i tak jest naprawdę, że nie zajmujemy się tylko sprawami związkowymi. To narzuca nam życie; ktoś musi to robić. Jak się wszystko wyprostuje, jak odpadną nam te inne rzeczy, będziemy działać tak, jak powinien działać związek zawodowy. A teraz dajcie mi odsapnąć... Woda w wannie się przeleje.

To był argument nie do odparcia. W holu, w świetle jupiterów brytyjskiej TV, udziela wywiadu dwóch ludzi. Podchodzimy bliżej. To przedstawiciele Bydgoszczy: Krzysztof Gotowski i Lech Winiarski.

— Rozmowy — mówi Gotowski — prowadzone były w atmosferze powagi i odpowiedzialności. Komisja rządowa nie przedstawiła jednak stanowiska w kluczowej, bydgoskiej sprawie. Mimo wszystko sądzę, że dojdziemy do porozumienia

— Mam trochę inne odczucie — wtrąca Winiarski. — Jestem pesymistą. Chcemy, oczywiście, rozwiązać konflikt, ale wobec zaprezentowanego stanowiska rządu nie wi-

wielki

Huta Warszawa. Syreny fabryczne oznajmiają koniec strajku ostrzegawczego

postawy

dzę wyjścia. Piątkowy strajk prawdopodobnie odbędzie się. Może też dojść do generalnego, ale wtedy byłby to już koniec...

Koło windy dziennikarze otaczają Andrzeja Słowika, przewodniczącego MKZ Łódź: — Nasze postulaty nie są do dyskusji, są do spełnienia. Nasze żądania, to być albo nie być dla związku. Wiemy, że sprawa Bydgoszczy to celowa prowokacja. Uważam jednak, że prowokatorzy mogą na tej zbliżającej się konfrontacji wiele stracić, niestety... kosztem narodu.

Jest już po 21.00. Obok recepcji przebiega sekretarka Wałęsy, Iwona Kuczyńska. W ręce trzyma jakiś teleks.

— To wystąpienie Rakowskiego na dzisiejszych obradach.

— Możemy przeczytać?

— Nie. Na spotkaniu uzgodniono, że na razie tekst jest tylko dla naszych ekspertów.

Wkrótce północ. W opustoszałym o tej porze holu, przed telewizorem, siedzą goście i przedstawiciele „Solidarności", m.in. Jurczyk i Słowik. Rozpoczyna się spóźnione wydanie ostatniego Dziennika. W zdumienie wprawia odczytanie pełnego tekstu wystąpienia Mieczysława Rakowskiego. Ktoś biegnie na drugie piętro po Wałęsę.

— Dlaczego nie dano stanowiska drugiej strony? — denerwuje się. — Wynika więc, że to tylko rząd robi dobre gesty, a „Solidarność" nie chce rozmawiać. Przecież ja też mówiłem.

Czwartek, 26 marca

Oczekiwanie staje się nieznośne. Jak długo będą trwały rozmowy? Jutro już piątek, czy uda się uniknąć strajku ostrzegawczego? Rano pytania w hotelu „Solec" o przebieg rozmów. Perspektywy na dziś brzmia jak stara, zdarta płyta.

Godzina rozpoczęcia rozmów nie jest jeszcze znana. Na sygnał od rządu czekają członkowie „Solidarności", czekają i dziennikarze.

Po południu w hallu recepcji poruszenie. Podobno dziś nie będzie rozmów, są przełożone na jutro. Tę pogłoskę dementują członkowie „Solidarności", obruszają się na rozsiewane plotki, uważają, że ktoś chce zaognić atmosferę.

A jednak... O godzinie 17.30 dowiadujemy się, że strona rządowa przesunęła termin spotkania na piątek.

— Nie jesteśmy chłopcami na posyłki. Jeżeli jutro nie rozpoczną się rozmowy, wyjeżdżamy do Gdańska — podnoszą się głosy wśród delegacji.

Piątek, 27 marca

Od godziny 8.00 do 12.00 w całym kraju przerwano pracę. Na ulicach Warszawy zamarł ruch. Z trudem dostajemy się rano do hotelu. Niestety, Lech Wałęsa wyjechał już do Huty „Warszawa", „Ursusa" i MZK.

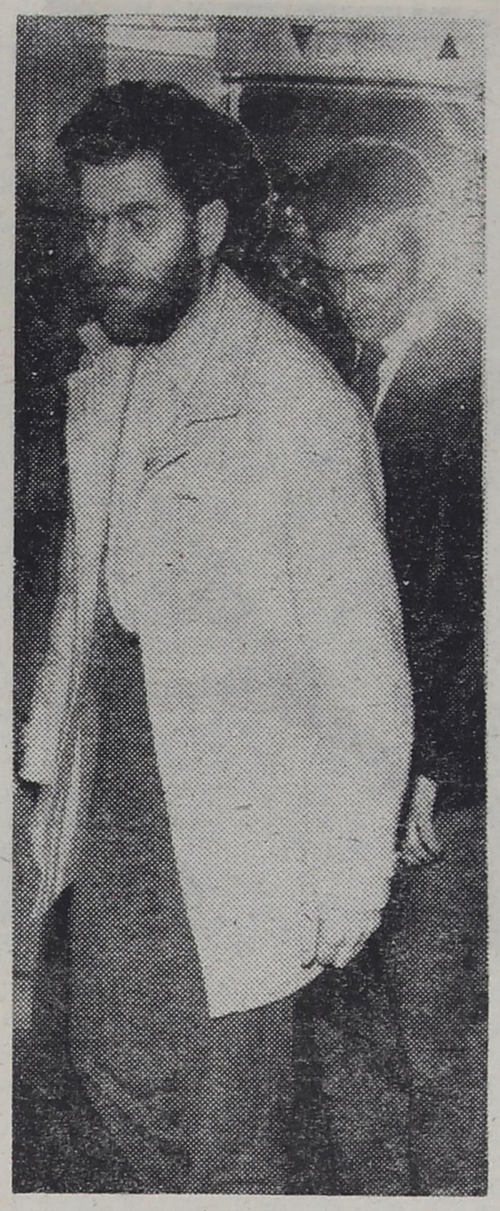

Wychodzi Gwiazda, lekko przygarbiony, zmęczony, z niewyraźnym uśmiechem.

Żadna z osób, które zostały, nie potrafi powiedzieć dokąd najpierw pojechali. Jedziemy do Ursusa. Tam już go nie ma. Tuż przed 12-tą trafiamy do Huty. Jest. Właśnie skończył spotkanie z robotnikami. Dwustu robotników odprowadza go z biało-czerwonymi flagami do bramy. Syreny fabryczne oznajmiają koniec strajku.

W tym czasie w hotelu Jurczyk i Słowik łączą się telefonicznie z Łodzią i Szczecinem. Pytają o sytuację.

— Jesteśmy zmuszeni zajmować się polityką — mówi Jurczyk. — Od 27 lat pracuję w Stoczni Szczecińskiej. Byłem spawaczem a potem kierownikiem magazynu. Gdybym mógł, wróciłbym na kolanach do swojej pracy, wróciłbym gdyby nie było 18 sierpnia strajku w stoczni, gdybym umiał spokojnie patrzeć na to, co dzieje się w kraju. Moim marzeniem jest, by każdy w Polsce mógł żyć jak człowiek uczciwy, żeby miał zagwarantowane życie na średnim poziomie, bez kolejek z godziwym wynagrodzeniem za pracę. — Występowałem przed ludźmi na stadionach i mówiłem: nie jesteśmy i nie będziemy przeciw partii ani ustrojowi lecz przeciw wypaczeniom.

— Nie byłem i chyba już nie zostanę członkiem partii — mówi Jurczyk. — Jestem zbyt stary. Ale najbardziej zależy mi na sprawiedliwości. Od strajku mija 7 miesięcy. Gdyby rząd inaczej z nami postępował, nie byłoby tylu niespokojnych wydarzeń. Takiego napięcia i niebezpieczeństwa. Ale weźmy nasze postulaty. Żądamy realizacji 10 punktów bydgoskich. Żądamy, aby prawo było jednakowe dla wszystkich. Uważam, że wszystko jest możliwe do zrobienia w tym punkcie, co najwyżej parę osób ustąpi ze swoich stanowisk. Żądamy, aby związek miał pełne gwarancje bezpieczeństwa dla swojej działalności, aby nikt nie mógł być represjonowany za działalność w związku. Przecież nic więcej nie chcemy. Nie jest tajemnicą, że nie wszystkie ustawy są dobre dla robotników.

— Żądamy — dodaje Słowik — zaniechania ścigania wobec osób, które prowadziły działalność opozycyjną w latach 1976—80. Chodzi o to, żeby ci, co mówią prawdę na zebraniach, nie byli karani. — Jestem członkiem partii. Wiem, że dla wielu legitymacja partyjna stała się przepustką do kariery. Co innego mówili na zebraniach, a co innego po. Ten, kto otwarcie mówił co myśli, zostawał sam.

— Prawda — wspomina Jurczyk — gdy w 1976 powiedziałem w stoczni na zebraniu co myślę, okazałem się wrogiem Polski Ludowej. Tylko dzięki swojej pracy, nienagannej opinii nie zostałem wyrzucony ze stoczni. Od partii wymagam, by działała zgodnie ze statutem. Mnie nie przeszkadza ani legitymacja partyjna, ani książka do nabożeństwa, byle by były uczciwe.

Pół godziny przed wyznaczoną godziną czekamy pod Urzędem Rady Ministrów. Za chwilę rozpocznie się trzecia tura rozmów. Mija 17.00. Sala obrad wciąż pusta. Narasta niepokój. Co się stało? Zawsze byli punktualni. Ktoś woła: rozmowy przeniesiono na Krakowskie Przedmieście. Jedziemy w pośpiechu. Przed Pałacem Rady Ministrów, obok żołnierzy, pełnią wartę chłopcy w biało-czerwonych opaskach.

Dostajemy się na dziedziniec, ale już nie do gmachu. Po chwili jesteśmy w potrzasku. Bramy od ulicy zostają zamknięte. Za nimi, mimo deszczu i zimna, gromadzą się ludzie.

Po kilkugodzinnym oczekiwaniu otwierają się drzwi pałacu. Porozumienia nadal nie osiągnięto. Delegacje rozjeżdżają się. Nasz maluch znów zdaje egzamin, po chwili, razem z delegacją „Solidarności", jesteśmy w „Solcu". Mimo późnej pory, zmęczenia i, jak zwykle, nocnej narady, Wałęsa znajduje dla nas czas.

— Najtrudniejsze jeszcze przed nami. Jest pewien postęp w dotychczasowych rozmowach, ale nie znaleźliśmy jeszcze wspólnego języka. Mamy zastrzeżenia i uwagi do raportu min. Bafii. Jutro zaczynamy obrady od przedstawienia naszego stanowiska. A teraz już muszę kończyć, przepraszam, chcę coś zjeść, zaraz zamykają restaurację.

Z recepcji telefonuje prof. Geremek. Podchodzi do niego dziennikarz z radia i prosi o wywiad: — Panie profesorze, ze względu na powagę sytuacji, proszę tylko o kilka słów.

— A właśnie, sprawa jest tak poważna, że nie czas na wywiady, i proszę się dziś nie bawić w dziennikarstwo.

Minęła północ.

Sobota, 28 marca

Szósty dzień od rozpoczęcia rozmów. Wszyscy są już zmęczeni. Nie ma czasu na złapanie oddechu. Krajowi grozi strajk generalny. Na każdym kroku wyczuwa się napięcie.

Dzisiejsze obrady znów nie kończą się ostatecznym porozumieniem. Ponownie zwłoka... Uzgodniono jedynie, że raport ministra Bafii i uwagi „Solidarności" zostaną wspólnie ogłoszone w prasie, radiu i TV. Powołano też mieszane zespoły robocze. Materiały, które przygotowują, będą podstawą poniedziałkowej dyskusji.

Późnym popołudniem przewodniczący KKP udaje się na audiencję do prymasa Polski, kardynała Stefana Wyszyńskiego. Ta wizyta ożywia oczekujących w hotelu fotoreporterów i przedstawicieli agencji prasowych z różnych stron świata. Bo tak naprawdę — hotel „Solec" stał się w ciągu kilku ostatnich dni istną wieżą Babel dziennikarzy, którzy polują na każdą, nawet najdrobniejszą, informację.

Konkurencja ogromna. Pojawienie się Wałęsy, kogoś z delegacji czy też ekspertów, elektryzuje wszystkich. Dziennikarze towarzyszą im wszędzie. Czekają, aż skończą posiłek. Gdyby nie spokojna, zarazem zdecydowana postawa straży porządkowej — zabrakłoby pewnie czasu na rozmowy z rządem, a wywiady trwałyby po 24 godziny na dobę.

Niedziela, 29 marca

Dla części delegacji to dzień żmudnej pracy w komisjach roboczych, dla innych czas odpoczynku, odprężenia, wewnętrznej refleksji. Tę atmosferę można od razu wyczuć w „Solcu". Mniej dziennikarzy, widać za to więcej hotelowych gości. — Gdzie Wałęsa? — wszyscy pytają.

Po południu wraca. Tym razem możemy swobodnie porozmawiać w jego pokoju. Uśmiechnięty, rozluźniony.

— Byłem na wsi pod Płockiem. Musiałem się stąd wyrwać, odetchnąć, nabrać sił... Rozmawiałem z takim starym, wspaniałym dziadkiem. W zagrodzie pokazał mi prosiaki, takie małe... To był cudowny dzień, potrzebny przed jutrem.

— A co będzie jutro?

— Poniedziałek, poniedziałek wielkich nadziei. Nie chcemy strajku, chcemy jedynie, by rząd zawsze traktował nas poważnie przy stole obrad. Ktoś ciągle przy nim kluczy, ale na pewno nie my.

Późną nocą zbieramy się do wyjścia. Nagle poruszenie, ktoś biegnie po schodach. Z hotelu pospiesznie wychodzi Wałęsa w asyście dyżurnych robotników. Biały fiat znika w ciemnościach. Chcemy jechać za nim. Nasz zamiar studzi prof. Geremek: — Mam nadzieję, że jesteście dziennikarzami, a nie policjantami.

Dokąd pojechali — nie wiemy.

Poniedziałek, 30 marca

Ostatnie godziny przed generalnym strajkiem. Stoimy pod bramą Pałacu Rady Ministrów na Krakowskim, wśród kilkuset osób czekających na wiadomość z pierwszej ręki. Każdy wpatruje się w oświetlone okna na pierwszym piętrze.

Już zmierzcha, gdy z gmachu zaczynają wychodzić pojedyncze osoby. W drzwiach pojawia się Wałęsa. Unosi ręce w stronę tłumu. Rozlegają się oklaski. Ktoś składa ręce do modlitwy, starsza kobieta ociera łzy, matka przytula dziecko, człowiek obok mówi: — Wierzyłem, że się dogadają...

Odprężenie. Wiadomość o porozumieniu w ciągu kilku minut obiegła Polskę i świat. Hotel „Solec" opustoszał.

TERESA GRABCZYŃSKA
PIOTR DZIĘCIOŁOWSKI
ANDRZEJ KOŁODZIEJSKI
Fot. PIOTR DZIĘCIOŁOWSKI

tydzień

Stoimy pod bramą Pałacu Rady Ministrów na Krakowskim Przedmieściu.

polski dylemat - nadzieje i zwątpienia

Problem: pokolenie umykającego spojrzenia

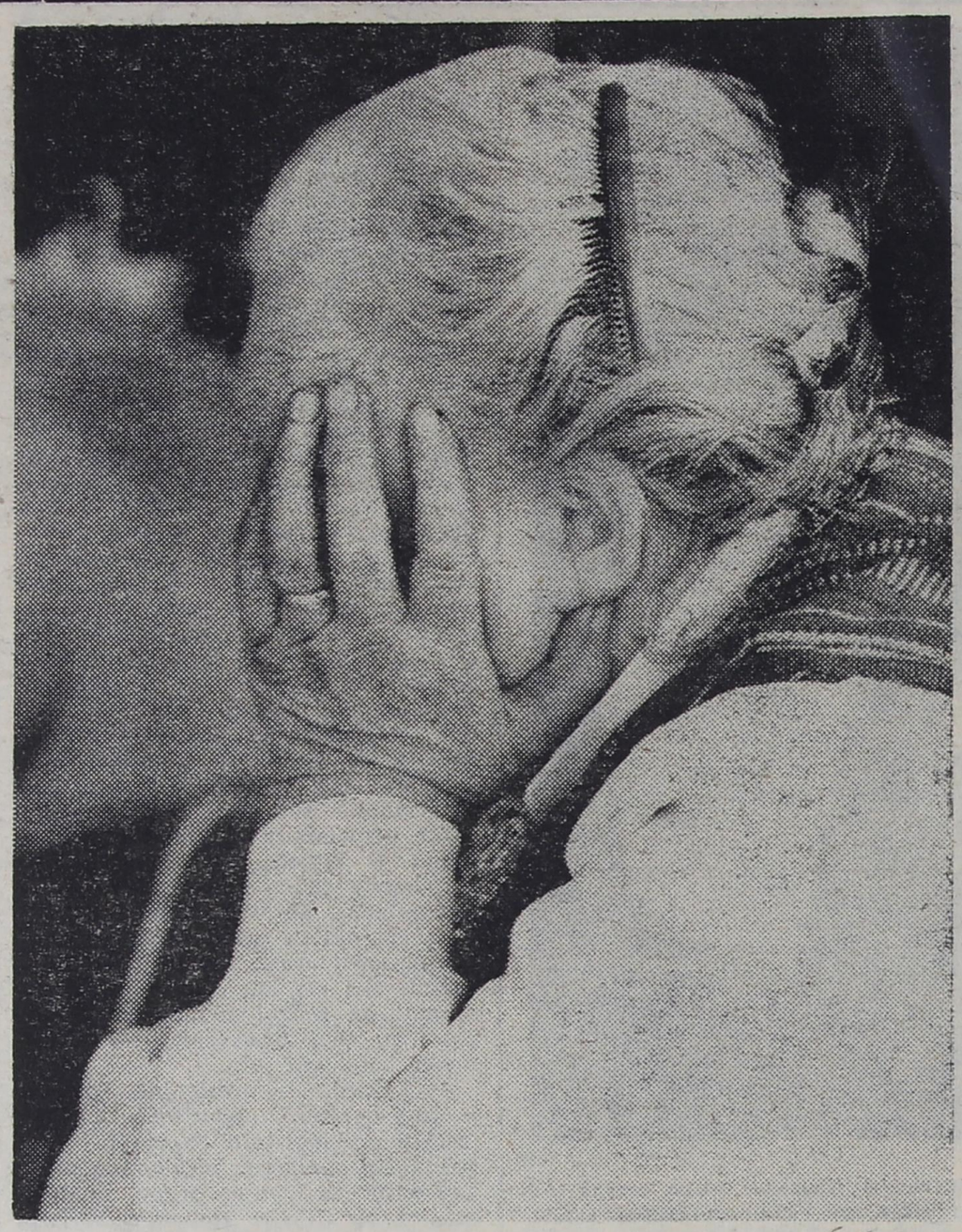

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

uwadze — sformułujmy wprost pewną hipotezę: dojrzewająca młodość naszego społeczeństwa umożliwiła fakt rozwijania się tak potężnego ruchu, z uporem dochodzącego swych racji i świadomego swej siły, właśnie *„w ramach systemu i praworządności”*, mimo iż domaga się on zmiany funkcjonowania właściwie prawie wszystkich struktur tego systemu, a niektóre z nich zmienił już gruntownie (związki zawodowe).

Przypomnijmy inne fakty. Tzw. wyż młodzieżowy w Polsce stanowią roczniki 1946—1960. Corocznie w tych latach rodziło się w naszym kraju ponad 700 tysięcy dzieci (wyjąwszy rok 1946 — 622,5; rok 1947 — 681,2; rok 1960 — 669,3), a w latach rekordowych — blisko 800 tysięcy (rok 1951 — 783,6; rok — 1955 — 793,8; rok 1957 — 782,3). Oznacza to, że najstarszy rocznik wyżowy kończy w br. 35 lat, najmłodszy — 20 lat. Pierwszy najliczniejszy rocznik wyżowy kończy w br. 30 rok życia, drugi — 26 rok, a trzeci — 24 rok życia. Łącznie wyż stanowi (w zaokrągleniu) ponad 10 milionów naszych współobywateli, ludzi już dojrzałych i pod każdym względem dojrzewających, będących w najbardziej ekspansywnym okresie życia, w którym decydują się dalsze losy zawodowe, start do awansu, następuje założenie rodziny i tworzenie jej warunków rozwoju, wybór uczestnictwa w życiu publicznym, w tym również politycznym — kraju, zakładu, miejsca zamieszkania itp.

Jakie były doświadczenia polityczne tych roczników wyżowych? Wspólną ich cechą jest niewątpliwie urodzenie się i wychowanie od dziecka już w nowym systemie ustrojowym, w Polsce Ludowej. Czasów powojennych do pierwszej przełomowej daty w naszej historii powojennej — roku 1948 — nikt z nich z własnego doświadczenia nie pamięta. Tylko niewielka stosunkowo część z bardzo wczesnego dzieciństwa może pamiętać co nieco okres stalinowski. Najstarszy rocznik wyżowy (1946) w przełomowym roku 1956 kończył dopiero 10 rok życia. Odnowa październikowa nie jest więc w zasięgu bezpośredniej pamięci tych roczników; jest dla nich historią, w dodatku znaną tylko (czy przeważnie) z subiektywnych opowieści starszych, gdyż gruntownych opracowań historycznych czy socjologicznych tamtego ruchu nie mamy (poza zagranicznymi — jednostronnymi i niedostępnymi).

Ale tragiczny rok 1970 znalazł się już w czasie ich wczesnej młodości i dojrzewania, a niektórych najstarszych roczników — wczesnej dojrzałości. Przypomnijmy znów: w 1970 rocznik 1946 skończył 24 lata (chłopak już po wojsku, uważany jest za człowieka dojrzałego); pierwszy najliczniejszy rocznik wyżowy — 1951 skończył 19 lat; wiek „buntu”, „burzy i naporu”, zaś ostatni rocznik wyżowy — 1960 — skończył 10 rok życia, kiedy pamięć i wyobraźnia gwałtownie się rozwijają a rozum racjonalizuje, jak umie, wszystko, co go atakuje z otaczającego świata.

O ile wiem — nikt nie przeprowadził badań na temat: grudzień 1970 w świadomości roczników 1955—1960 (10—15 lat). Jestem przekonany, że byłaby to kapitalna sonda w głębiny świadomości tej generacji, rzucająca światło na jej zachowania w ostatnich miesiącach — od sierpnia 1980 począwszy.

Roczniki wyżowe (różne fazy chłopięctwa i młodości) weszły z kompleksem czy urazem (jak kto woli) tragicznego grudnia 1970 w wielce obiecujące lata siedemdziesiąte. W ich pierwszej połowie odnowa pogrudniowa wydawała się czymś trwałym, rozwojowym, dającym duże szanse licznej generacji wyżowej. Propaganda obietnic i sukcesów, początkowo niezaprzeczalnych, wywołanych tak pożyczkami zagranicznymi, jak i zrywem produkcyjnym (m. in. tego pokolenia), zrobiła swoje. Wielkie inwestycje. Pracy w bród. Skok ilościowy studentów w szkolnictwie wyższym. Motoryzacja. Wielce obiecujące plany rozwiązania kwestii mieszkaniowej. Dość obfity rynek, przy taniości produktów żywnościowych, dostępny dla kieszeni większości zarabiających w przemyśle. Itd.

Jednocześnie pod hasłem „siły przebicia”, „socjalistycznej kariery”, zwalczania „urawniłowki” w płacach (co miało wyzwalać inicjatywę najlepszych), przez praktyczne odrzucenie kodeksu ideowo-moralnego zasad socjalistycznego egalitaryzmu na rzecz pochwały technokratyzmu — wznoszono rok za rokiem bariery dla rzeczywistego, socjalistycznego awansu społecznego większości młodego pokolenia. Formalnie liczyły się kwalifikacje, a faktycznie — w II połowie lat siedemdziesiątych już ok. 40 proc., przeważnie młodych specjalistów, pracowało na stanowiskach niezgodnie z kwalifikacjami. Z trybun ciągle padały oszałamiające cyfry na temat planu rozwiązania problemu mieszkaniowego, a budownictwo goniło w piętkę za tymi pobożnymi życzeniami, z kolosalnymi, z roku na rok kumulującymi się, opóźnieniami. Było bowiem podgryzane przez, wypuszczonego z mieszka i beztrosko hasającego, „diabełka” prywatnego budownictwa daczy, willi czy wręcz fortec wczasowych przez „możnych”, nierzadko na koszt społeczny. A jeśli nawet nie na tej drodze, to ze szkodą dla budownictwa społecznego, spółdzielczego, wreszcie produkcyjnego na wsi. Motoryzacja stawała się też coraz bardziej terenem spekulantów i dysponentów talonami, złudnym zaś marzeniem przeciętnego, rzetelnego człowieka pracy.

Najgorsze w tym wszystkim były narastające rozbieżności słów i czynów, obietnic i realizacji, teorii i praktyki. Człowiek pracy coraz częściej czuł się przedmiotem manipulacji, a nie podmiotem stosunków społecznych i produkcyjnych socjalistycznego typu. Czuł się obiektem oszustwa jeśli chodzi o sprawiedliwą wycenę (nie tylko materialną, lecz i moralną) swojej pracy oraz przysłowiowym „głosem wołającego na puszczy”, jeśli postulował zmiany czy krytykował jawne nieraz draństwa i nonsensy w swoim zakładzie czy otoczeniu.

Generacja dojrzała (ludzie w wieku 40—60 lat), znosiła to w dużej części, jeśli nie w większości, z trudem, ale z pewną rezygnacją. Znała bowiem z własnego doświadczenia gorsze (niż można było gołym okiem obserwować) przypadki zła w socjaliźmie, nie mówiąc o doświadczeniach okupacyjnych czy przedwojennych. Poza tym była bardziej niejednolita co do sytuacji zawodowej i materialnej niż młodzież; w części urządzona na miarę swoich możliwości, w części zainteresowana w urządzaniu się w takim trybie, jaki ustalił się w latach siedemdziesiątych, w części zrezygnowana. A tylko w części — i to głównie w klasie robotniczej, trochę wśród lewicującej na wszelkie sposoby inteligencji — próbowała powiedzieć głośno, wbrew samozachowawczemu instynktowi, że „król jest nagi”. Pamiętajmy, że było to pokolenie, które świadomie przeszło i uczestniczyło, zawsze wychodząc z tego mniej lub bardziej „pokiereszowane psychicznie”, we wszystkich tragicznych i dramatycznych zawężleniach naszych dziejów najnowszych, od września 1939, po grudzień 1970. Jego skala porównań była skalą międzyformacyjną, często ze straszliwą hekatombą okupacyjną w dzieciństwie czy w młodości oraz znacznym, choć trudnym, awansem (głównie ze wsi) w Polsce Ludowej. Generalna akceptacja socjalizmu, nawet ułomnego, w dużej części tej generacji na tych miarach i porównaniach była osadzona. Występowała ona z domieszką trwogi, by gwałtownym żądaniem pełnej sprawiedliwości nie zburzyć już osiągniętych wartości, nie narazić się na nowe, gorsze niż grudzień 1970, urazy i wyrzuty sumienia.

Tu mała dygresja. W „Kulturze” (nr 11/81), w wywiadzie przed Zjazdem ZHP, Stanisław Broniewski, naczelnik Szarych Szeregów w latach 1943—1944, do dziś starszy działacz harcerski, mówiąc o swej metodzie poznawania ludzi „po oczach”, zwierza się z takiego spostrzeżenia: *„Otóż roczniki 30—40 lat mają w spojrzeniu coś umykającego. Żaden materiał nie lubi, jak go zginać parokrotnie, pęka. A oni byli wyginani. Natomiast roczników od 27 lat w dół nikt już tak nie wyginał. Oczy bez kompleksów, bez obciążeń, głodne autentyzmu, spokojne. Ta młodzież chce być porwana przez życie, ale pod warunkiem, że do końca prawdziwe”*. Jeśli nieco przesunąć wzwyż roczniki, to spostrzeżenie wydaje się jeszcze bardziej prawdziwe.

W większości generacja wyżowa nie ma w swej świadomości zakodowanych kompleksów okupacyjnych, walk powojennych o stabilizację polityczną, ciężaru okresu *„zaostrzającej się w miarę budowy socjalizmu”* walki klasowej lat 1948—1955, nadziei, ale i grozy polskiego października 1956 wobec wydarzeń węgierskich itp. Jej skala porównawcza jest tylko wewnątrzsocjalistyczna. Świadomość jej jest nafaszerowana bardzo wzniosłymi teoretycznymi założeniami socjalizmu oraz kontrastami życia, przeczącymi tej teorii. Świadomość to w jakimś sensie ahistoryczna. Takie było bowiem kształcenie i wychowanie tego pokolenia. Wychowanie bez pełnej, konfliktowej interpretacji historii najnowszej, z całym obszarem przemilczeń, nasycone idealnymi, abstrakcyjnymi zasadami socjalizmu, zderzone czołowo z realiami życia w rodzinie, szkole, zakładzie pracy, w otoczeniu społecznym. W rezultacie wynikał z tego silny „dysonans poznawczy” (jak to jest naprawdę z tym socjalizmem?) implikujący dręczący dylemat ideowo-moralny: czy jest to wynik „draństwa ludzi odpowiedzialnych” (per saldo — pokolenia rodziców), czy „niereformowalności samego systemu”, jak podpowiadali bliżej nie określeni, a oficjalnie silnie w propagandzie zwalczani, opozycjoniści?

Można tę świadomość wyżowej generacji nazwać swego rodzaju „fałszywą świadomością”. Ta obiektyw-

na słabość była jednak — paradoksalne — siłą motywującą zaangażowanie w reformatorskie działania. Pozwalała mieć owe „oczy bez kompleksów, bez obciążeń, głodne autentyzmu, spokojne". Pozwalała maksymalistyczne idee socjalizmu traktować całkowicie dosłownie, serio, jako nakazy realizacyjne. Ma być tak, jak się mówi, że być powinno, inaczej do luftu z takim socjalizmem. Do luftu z hasłem pracy dla ojczyzny, jeśli to praca źle zorganizowana i niesprawiedliwie wynagradzana. Do luftu z organizacją młodzieżową, w której nie można się dowiedzieć, dlaczego idea tak dalece odbiega od życia. Do luftu z państwem, które najpierw rozbudza aspiracje, apetyty na nowoczesność, mieszkanie, samochód, wycieczki zagraniczne itp., a potem ujawnia „absolutną niemożność" ich spełnienia, zasłaniając się kryzysem światowym i niepogodą, a nic nie mówiąc o własnej nieudolności i błędnej polityce.

W II połowie lat siedemdziesiątych niektórzy publicyści i badacze pisali o rzekomej bezideowości czy ucieczce w sfery życia prywatnego młodego pokolenia. Ich błąd polegał na tym, że objawy zewnętrzne zniechęcenia i rozczarowania ideowego brali oni za istotę postawy. Człowiek rozczarowany, zagniewany niesprzyjającymi warunkami dla realizacji swych idei, nie przestaje być człowiekiem ideowym. Tylko obojętność oznacza bowiem taką postawę. Zagniewanie, nawet bez przechodzenia w czynne z tego powodu działanie, jest ideowością „zamrożoną", która w odpowiednim momencie może wybuchnąć ze zdwojoną siłą, jak wszystkie pasje długo tłumione. Tak się stało z większością pokolenia wyżowego w połowie roku 1980.

Znowu dygresja. Pod koniec lat siedemdziesiątych Krzysztof Zanussi podzielił się w rozmowie ze znanym pedagogiem i socjologiem, Mikołajem Kozakiewiczem, następującą refleksją: *„Paradoksalnie mówiąc, nasze społeczeństwo na skutek niezaspokojenia wielu potrzeb, na skutek wielu braków i niedosytów ma więcej szans od wielu innych sytych i przesyconych. Przewaga nasza leży również w edukacji, która w konfrontacji z systemami szkolnymi innych krajów okazuje się znacznie lepsza. Mówię to ze zdumieniem, gdyż jednocześnie mam ogromnie dużo do zarzucenia naszym nauczycielom, których uważam za ostoję konserwatyzmu wszelkiego rodzaju. I nie umiem wytłumaczyć, w jaki sposób ci bardzo źli nauczyciele wychowują ludzi, którzy w ostatecznym wyniku nie są najgorsi, a z reguły lepsi niż w wielu bogatszych krajach".*

Nie zgadzając się z wybitnym reżyserem co do generalizującej oceny nauczycieli, chcę podtrzymać zasadniczy wątek jego refleksji na temat stosunkowo wysokiego poziomu aspiracji i samodzielnego myślenia młodego pokolenia. Jest ono bardziej wykształcone nie tylko w znaczeniu ukończenia określonych szkół i zwiększonego przekazu wiedzy przez rodziny, lecz także w sensie dostępu i poszerzających się możliwości wyboru z dorobku kultury narodowej i światowej. Pokolenie to — odczuwając, czasem boleśnie, sprzeczności socjalizacji — dąży w większym stopniu niż poprzednie do autonomii wewnętrznej, samookreślenia, samodzielnego kierowania własnym życiem, niezależnie od wszelkiej władzy zewnętrznej. Stąd też dążenie do indywidualizacji uczestnictwa w kulturze, do samodzielnego wyboru wartości. Jest to żywiołowa reakcja na unifikację procesu socjalizacji, realizowanego przez szkołę czy organizacje młodzieży, oraz na centralizację życia społeczno-politycznego w ogóle.

W tej sytuacji „Solidarność" jawi się dużej części tego pokolenia jako organizacja idealnie realizująca jej żywiołowe dążenia i oczekiwania, dająca pole do bycia autentycznym w swych czynach, które stają się wreszcie odbiciem własnej postawy. Postawy mają różne motywacje i wynikają z różnych interesów. Motywacje młodych robotników będą z reguły wynikać z robotniczego poczucia sprawiedliwości i potrzeby godności robotnika. Będą głęboko patriotyczne i w istocie broniące socjalistycznych zasad współżycia społecznego. Nie będzie w nich górował interes prywatny nad społecznym, nie tylko robotniczym. Na tej bazie zrodziła się „Solidarność" jako ruch protestu, a następnie samowładności klasy robotniczej, w którym młodzi robotnicy z tego pokolenia odgrywali i odgrywają liczebnie i jakościowo dużą rolę.

Motywacje te nie będą już identyczne w przypadku młodej inteligencji, rolników organizujących tzw. „Solidarność Wiejską" czy studentów. Tu mogą odgrywać rolę postawy indywidualistycznego rozgoryczenia, chęci przeżycia „przygody", z tych czy innych powodów powstałe — uprzedzenia, a nawet wrogość do socjalizmu. Oczywiście, nie u wszystkich, nawet nie u większości, ale pluralizm motywacji i interesów może tu być ogromny.

Co więc spaja „Solidarność"? W teorii ruchów społecznych znany jest tzw. paradoks Mancura Olsona, zachodniego politologa i socjologa. Twierdzi on, że ważną rolę w powstawaniu i spójności takich ruchów odgrywają nie tylko wspólnota interesów, lecz pewne czynniki „irracjonalne": solidarność uczuciowa, podobieństwo sytuacji życiowej, identyczność akceptowanych norm, poczucie odrębności w stosunku do innych zwalczanych grup czy instytucji, wspólnie przeżyte wydarzenia i sytuacje, jak np. strajk itp. Tak się działo — w przypadku „Solidarności" — w ostatnich miesiącach. Paradoks Olsona działa tu w sposób klasyczny. Ekstermistyczne grupy w „Solidarności" wykorzystywały go świadomie czy nieświadomie, wprowadzając elementy propagandy antysocjalistycznej i eskalacji napięć, aby przyciągnąć do ruchu przede wszystkim ludzi o różnych celach i ekspresywnych postawach, nie normowanych ani wiedzą, ani doświadczeniem historycznym, ani doświadczeniem klasowym, robotniczym. Daje to bowiem możliwość anarchizacji celów ruchu, a tym samym — skierowania go przeciwko jego pierwotnym ideałom, genetycznie socjalistycznym.

Nie znaczy to, że wszyscy, czy w większości wykonawcy takich działań, mają świadomość tego procesu. Wskutek wspomnianego wyżej ahistoryzmu świadomości, w pewnym stopniu jej „fałszywości", przez nich nie zawinionej, mogą oni działać w najlepszej wierze, że realizują szlachetne cele pierwotne „Solidarności", pomagają robotnikom, odnawiają socjalizm itp. Tylko wytrawni manipulatorzy, zaprawieni w kryptopropagandzie antysocjalistycznej, mogą świadomie sterować takimi emocjami, żywiołowymi postawami, energią buntu przeciwko złu — w kierunku kolejnego zła.

I to jest niemały dylemat pokoleniowy naszych dni. Mści się tu nieautentyczność nauki historii i jej przemilczenia, sformalizowanie organizacji młodzieży i programów dydaktyczno-wychowawczych szkoły, przypadkowość edukacji politycznej młodych ludzi, wpływ na nich antysocjalistycznej propagandy, obficie kolportowanej w latach siedemdziesiątych w kraju i płynącej na falach eteru zza granicy.

Rozwiązanie problemu n a d z i ś jest jedno: powrót we wszystkich działaniach „Solidarności" do jej pierwotnego nurtu obrony interesów robotniczych (a przez to — wszystkich ludzi pracy) i zdecydowane odmówienie wiarygodności intencjom eksremistów A n a j u t r o — ukształtowanie przez klasę robotniczą własnych, silnie z nią związanych, grup inteligencji, ideologicznej i propagandowej, tak w partii, jak i w „Solidarności", związkach branżowych, w związkach młodzieży itp.

Ponadto wychowanie obecnie dorastającej generacji bez niedomówień i schematów — tak pod względem wiedzy o historii najnowszej, jak i rozumienia sprzeczności oraz trudności dnia bieżącego.

BRONISŁAW GOŁĘBIOWSKI
Fot. GABOR LÖRINCZY

spięcia

Łomża jest ze wszech miar oryginalnym miastem. Gdy tylko stopniał ostatni śnieg, na trawnikach pojawiły się dywany papierowych kwiatów. Kosze na śmieci rzadko tu uświadczysz, a nie każdy wyniósł z domu przyzwyczajenie do noszenia papierów w kieszeni. Zabiegi higieniczne w innych miastach wykonywane są o świcie, natomiast łomżyńska służba komunalna budzi się wówczas, gdy jej słońce dobrze pięty podgrzeje, a następnie zabiera się do przerzucania kurzu z ulic na mieszkańców, spieszących do pracy lub oczekujących na przystankach. Poznasz pana po cholewach, a gospodarza po bałaganie we włościach.

☆

Nasz zdesperowany czytelnik, rolnik z gminy Jedwabne, zrobił sobie w kuźni lemiesz z pocisku artyleryjskiego (czym nagonił kowalowi niemało strachu). Ale nikogo do naśladowania swego kroku nie zachęca, chyba że ktoś, tak jak nasz dzielny rolnik, był saperem w inżynieryjnej jednostce wojskowej. Jeśli nie, autor lemiesza radzi pocisków nie dotykać, lecz oznakować chorągiewką i zawiadomić stosowną jednostkę. Prosimy: niech wojsko pociski pozbiera i huknie na ustroniu tak głośno, aby producenci maszyn rolniczych pospadali ze stołków.

☆

Panie K. Ś=z Zambrowa, dowcip jest dobry, ale nie tragiczny: poza tym — stary. Pańska troskliwość o nasze poczucie humoru mogłaby być użyteczna przy rozwiązaniu następującej zagadki: jaki wpływ ma opryskliwość zlewniarki w Kossakach Nadbielnych ma wybitne umuzykalnienie prezesa Okręgowej Spółdzielni Mleczarskiej w Zambrowie?

☆

Dzieci ze Szkoły Podstawowej nr 5 w Łomży z utęsknieniem czekają na cieplejsze dni, aby nie musiały nosić na grzbietach okryć zimowo-wiosennych, bowiem w ich szkolnej szatni urządzono strzelnicę! Proponujemy, aby inicjator pomysłu został zmuszony do przejęcia szkoły i przeprofilowania jej na Gminną Szkołę Strzelców Wyborowych.

☆

Szanowna Czytelniczko ze Szczuczyna, nie przyjmiemy kolejności, którą Pani proponuje. My też chcielibyśmy się ukryć przed konsekwencjami swojej pisaniny przez wysyłanie anonimowych donosów do różnych instytucji. A przecież nie chcemy robić wrażenia pustych beczek, które wydają najgłośniejsze dźwięki. Czego i Pani nie życzymy.

☆

Kiedy budynek przy ul. Kierzkowej w Łomży wznoszono pod pierwotne przeznaczenie — plac budowy objął teren Szkoły Podstawowej nr 4, a chodnik szkolny służył za przejście publiczne. Teraz cel gmachu widać zmalał, bo ogrodzenie placu budowy opuściło ogródek szkolny, a i na deptak miejsce się znalazło. Fakt ten przywodzi na myśl wierszyk o kurze i grzędzie. Ale nie tylko, bo również rozliczne porównania. Na przykład takie: jednemu człowiekowi wystarczy do zjedzenia obiadu miejsce przy stoliku, a drugi musi mieć do tego salę bankietową. Itd.

☆

I znów dostało się sołtysom za cudze przemówienia. Oto zbyt małe odszkodowania za straty poniesione przez rolników z powodu złej aury sprawiły, że tylko w gminie Grabowo wymieniono ostatnio trzech sołtysów, czyli: ponownie zawinił Cygan, a kowala powiesili. Już nudzi nas to ciągle przypominanie ludowi jego własnych mądrości.

☆

Przywiedziony do rozpaczy brakiem nawyków higienicznych u ekspedientek, nasz łomżyński czytelnik informuje dyrektora WPHW, że kupi każdą ilość papieru bez mięsa, a dyrektora WSS-u — że nabędzie każdą ilość mięsa bez opakowania.

obyczaje

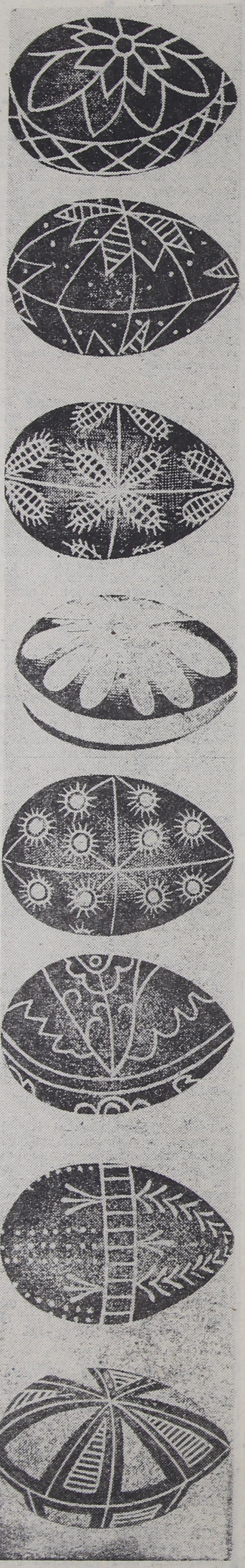

Jak co roku — święta przywołują na myśl tradycję sięgającą zamierzchłych stuleci. Formy kulturowe, związane z obchodami Wielkiejnocy, są dla nas niejednokrotnie „pustymi znakami". Nie umiemy pojmować ich jako przekaźników określonej treści. To oddalenie formy od treści — bez wdawania się w jego przyczyny — niewątpliwie prowadzi do zaniku odziedziczonych po przodkach rytuałów wielkanocnych. Z myślą o bardziej świadomym przeżywaniu Wielkiejnocy, przez zachowane do dzisiaj zwyczaje jej świętowania, chcemy przypomnieć Państwu kilka fragmentów „Roku Pańskiego" Zygmunta Glogera — niestrudzonego badacza rodzimej przeszłości — który uczy historycznego spojrzenia na obrządek wielkanocy.

pisanki

(przez Szczęsnego Jastrzębowskiego)

Nad kwestyą malowania jaj wielkanocnych zastanowili się uczeni już w wieku XVII, jak świadczą dzieła całe, traktujące o jajkach wielkanocnych, wyszłe w latach 1682 i 1705 w Heidelbergu i Frankfurcie nad Odrą. Wcześniejsze ślady o jajach malowanych znajdują się w dziełach Juwenala, Owidiusza i Pliniusza.

Podanie greckie zapisane w rękopiśmie z wieku X-go, jakoby zwyczaj malowania jaj wielkanocnych wprowadziła św. Magdalena, powtarza się w bardzo zbliżonej formie w opowieści ludu polskiego. Bolejącej Maryi Magdalenie, przy pustym grobie Zbawiciela ukazał się anioł i rzekł: „Nie płacz Maryo, Chrystus zmartwychwstał!" Uradowana, pobiegła do domu i ujrzała wszystkie jajka, które w izdebce swej chowała, ubarwione na czerwono. Gdy wyszła z niemi przed dom, napotkała apostołów i poczęła im te jajka rozdawać, głosząc o zmartwychwstaniu Pańskiem. Jajka w rękach apostołów zmieniły się w ptaki, świadcząc, że tak samo i ze śmierci Chrystusa powstał żywot wieczny dla ludzi. [...]

Nazwy jaj wielkanocnych zależą od sposobu, w jaki zostały pomalowane. Ufarbowane na jeden kolor, czy to przez gotowanie, czy przez moczenie w pewnym barwniku, noszą nazwę malowanek, kraszanek lub byczków. Jeżeli na tem jednostajnem tle wyskrobany jest (za pomocą ostrego narzędzia) deseń, to jajko nazywają skrobanką lub rysowanką. Wreszcie, jeżeli jajko zdobi różnokolorowy deseń, przez pokrycie woskiem pewnych jego części a następnie gotowanie w barwnikach, to zowią je pisanką a sposób malowania — pisaniem. Jest jeszcze jeden sposób przyozdabiania jaj, rzadziej używany, przez nalepianie w deseń „duszy" z bzu lub sitowia i wyklejanie kolorowymi papierkami, złotkiem i gałgankami. [...]

Pisaniem zajmują się w czasie przedświątecznym dziewczęta, czasem młode mężatki, rzadko chłopcy. Do „pisania" t.j. nakładania wosku na jaja, służy szpilka, słomka, igła ze złamanym uszkiem lub narzędzie zwane „pisakiem" albo „kwaczykiem" zrobione z małego patyczka rozłupanego na końcu, gdzie osadzona jest cieniutka rurka blaszana, cienki pieniążek lub koniec sznurowadła. Sposób i technika malowania pisanek, są bardzo rozmaite i świadczą nieraz o niepoślednim zmyśle wiejskich malarek. [...]

Prócz fantazyi w rysunku pisankowym tkwią motywy prawidłowe, stałe i wszędzie się powtarzające lub właściwe niektórym tylko miejscowościom. Rządziła tu więc i tradycya z pokolenia w pokolenie podawana. Ornament ludowy nie powstał nagle, kształcił on się przez wieki całe. Z form pojedyńczych, prostych, z kilku zaledwie linii równoległe lub na krzyż kładzionych, wyrodził się ornament złożony, tchnący bogactwem formy. Przyroda była mu matką, a fantazya sukienką, w którą się potem przyodział. [...]

Stosownie do pierwowzoru, z którego rysunek był brany, nadawane bywają i nazwy poszczególne pisankom. Z rozkrojonego jabłka na połówki, z tkwiącemi w nich pestkami, powstał deseń „w jabłuszka". Dzwonek polny wytworzył nazwę „w dzwoneczki"; gałązka sosnowa — „w sosenki"; topola — „w topolki"; kogut — „w koguciki"; kurza łapa — „w kurze łapki" itd.

Zebranie i poznanie ornamentu ludowego w całym kraju może dorzucić niejeden promień światła do historyi kultury człowieka, wskazać ścieżkę, po której kroczyły i rozwijały się pojęcia jego o pięknie i formie, może dopomódz do pozbycia się niewolniczego naśladownictwa wzorów obcych a wytworzyć rysunek samoistny, swojski, z charakterem własnej twórczości.

wielkanoc

(Wspomnienie z lat dziecinnych Zygmunta Glogera

W tej to właśnie porze, przed wiejskim starym dworem, porządkowano od rana dziedziniec. Z gęstych klombów starego bzu i jaśminu wygrabiano zczerniały liść jesienny, podjazd wysypywano świeżym piaskiem, a przed gankiem potrząśnięto nasiekaną świerczyną. Między oficyną, w której mieściła się kuchnia, a dworem panował ruch niezwykły. Był to bowiem dzień wielkosobotni. Co chwila biegały z pośpiechem w jedną i drugą stronę to niewiasty z chustkami zawiązanymi na głowie w rodzaju zawoja, to Brzosia; stara klucznica, to kucharz, to rumiane, korpulentne bose dziewczęta.

Był w domu naszym pokoik narożny, niewielki, w którym na święta wielkanocne ustawiano święcone na dużych stołach zasłanych białymi obrusami. Białe ściany tego pokoiku przybierano w świerkowe gałęzie, miłą woń lasu dające. Teraz przenoszono do tego przybytku z kuchni i spiżarni ciasta i mięsiwo. Więc najprzód widziałeś jak Brzozosia z niewiastami dźwigała ostrożnie, wysokie na łokieć walcowego kształtu baby szafranowe, przybrane w białe czepce z lukru, różnobarwnego maku i konfitur domowych. Ustawiono je w zwartym szeregu pod ścianami, jakby do boju, który miał się zakończyć ich poćwiartowaniem i spożyciem przez ludzi. U ich stóp leżały pokotem w drugim szeregu, niby wasale, placki pulchne a grube jak poduszki, wysadzane rzędami białych migdałów i czarnych wielkich rodzenków. Dalej szły słodkie mazurki jak kwadratowe kobierczyki, przybrane w lukier, mak kolorowy i agrest smażony. Stół oddzielny przeznaczony był dla mięsiwa. Tu królował postawiony na środku pieczony baranek, przy którego poświęceniu kapłan oddzielne odmawia modlitwy. Po kostki z tego baranka zwykle przychodzili po świętach wieśniacy, aby zakopać je w czterech rogach granic wioski, w sobotę przed „przewodami", co miało zabezpieczyć od klęsk i gradu. (...) Mięsiwo przyozdobione było jak i ciasta gałązkami zielonego barwinka, a panował nad niem krzyż obrośnięty jasno-zieloną, drobną, gęstą rzerzuchą, coroczny popis starego ogrodnika. Na ziemi stały kopanie z galaretą, z nóg wołowych przyrządzoną i kosze z rumianymi pierogami, co wszystko przeznaczone było dla czeladzi, dla której kupiono dwa tuziny wielkich nowych misek, aby każdemu nadzielić czubatą porcyę wszelkiego mięsiwa.

Wszystko oczekiwało w Wielką sobotę na przybycie proboszcza, który w dniu tym objeżdżał dwory, wioski i zaścianki, poświęcając swym parafianom dary Boże. Na dom nasz przypadała kolej w godzinie południowej. Gdy nadeszła wieść o przybyciu kapłana, powstał we wsi ruch niezwykły. Biegano z tą wiadomością od chaty do chaty. Z pod każdej strzechy wychylała się kobieta, niosąc spiesznie do dworu słomianą, o płaskim dnie, owalną kobiałkę z ciężarem, w biały, czysty, szeroki z frendzlami ręcznik domowej roboty, zawiniętym. Następowała chwila tradycyjna, charakterystyczna. Przed starym gankiem na czterech słupach wspartym, wieśniaczki ustawiały na ziemi swoje kobiałki w duże półkole i odkrywały z białych zasłon to, co do poświęcenia przyniosły. Były to wszystkie prawie analogiczne, ze święconem we dworze, przedmioty. Jeno uboższe, skromniejsze i brakowało tylko mazurków. W każdej kobiałce kraśniało kilka pięknie rysowanych pisanek, rozpierał się owalny pierog, taki sam jak dworskie, do boku jego tulił się świeży ser śnieżnej białości, opasany wiankiem kiełbasy, kawał wędzonki i sól do poświęcenia nieodzowna. U możniejszych pyszniła się babka żółta od krokoszu, pękata, bo zwykle upieczona w starym garnku, który przy wyjęciu ciasta musiano rozbijać, i wyglądało ciekawie z pod ręcznika blade prosię z jajkiem lub chrzanem w zębach. Wszystko przybrane było zielonym barwinkiem i gruszewnikiem leśnym i roztaczało woń niezmiernie przyjemną dla tych, którzy przez cały post wstrzymywali się od

Wielkanie

tradycji

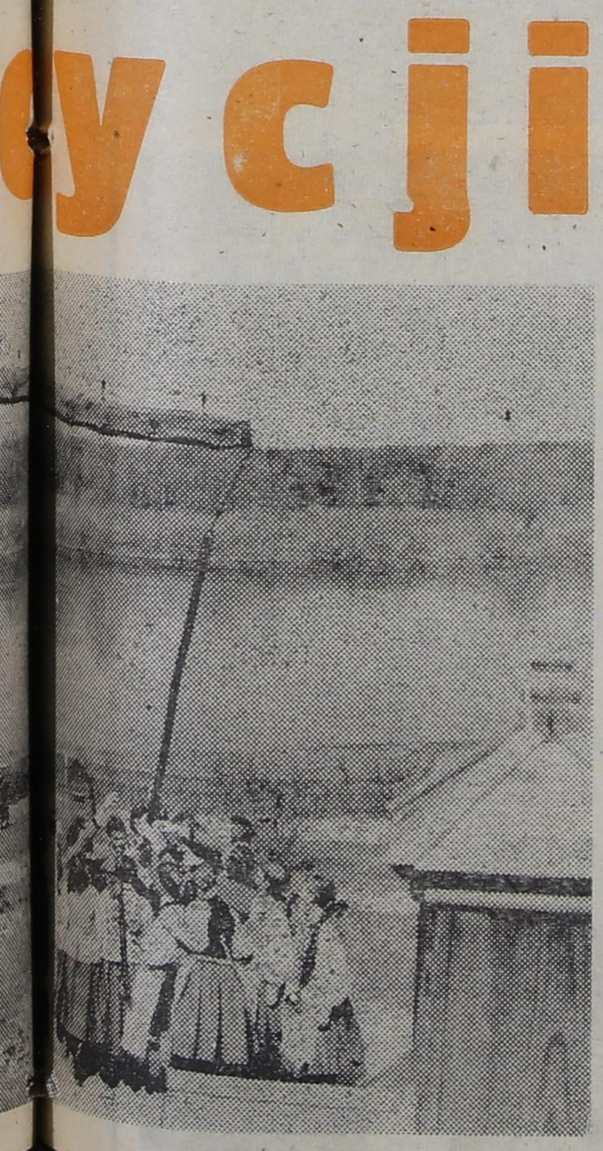

nabiału, okrasy wszelkiej i mięsa.

Gdy dano znać, że już nikogo z wioski i czeladzi dworskiej z kobiałką nie brakuje, postawiono w środku półkola, przed gankiem, ceber z wodą studzienną. Wychodziliśmy wszyscy na ganek z kapłanem, ubranym w białą komżę, który przeczytawszy z książki modlitwę, sypał szczyptę soli do cebra wody i podanem mu domowem kropidłem skrapiał kobałki, a potem lud obecny i nas wszystkich, czyniących znak krzyża na sobie. Taka sama ceremonia odbywała się potem w małym narożnym pokoiku. Teraz cały lud w przyniesione z sobą flaszki czerpał skwapliwie z cebra wodę święconą, którą w każdym domu chowano do poświęcenia nowych mieszkań, budynków, dobytku i do chrztu niemowląt w nagłej potrzebie. Księdzu odjeżdżającemu wstawiano do bryczki koszyk z babką lub plackiem. Resztę niewyczerpanej wody z cebra wlano do studni.

W nocy starsi jechali na rezurekcyę, a dzieci pozostawały w domu. Z kościoła całe obywatelstwo wstępowało do proboszcza, powinszować pasterzowi świąt Zmartwychwstania Pańskiego i podzielić się jajkiem święconem, a kolator zapraszał go do siebie na święcone w dniu pierwszym. Lud powracał ze świątyni rano do domów swoich, zacinając konia batem z powdu gorączkowego pośpiechu zakosztowania „święconki".

Nie mogę zapomnieć miłego wrażenia, którego zawsze doznawałem, gdy rano w pierwsze święto liczna gromada młodszych gospodarzy i parobków w ubiorach świątecznych przybywała rodzicom moim świąt powinszować i w domu naszym śpiewała potężnym chórem, wesołą, piękną pieśń Alleluja, poczem częstowano święconem winszujących. Za sadem, wśród wioski, młodzież z siedmiu wielkich drągów, które ze dworu na ten cel dawno, budowała huśtawkę. Niekiedy urządzano huśtawki między drzewami, a bywały i tak pierwotne, że ławkę nie na sznurach lecz wiciach brzozowych zawieszano. Czasem urządzano „kobylicę" t.j. najprostszej budowy karuzel, złożony z dwóch krzyżujących się baryer, osadzonych do kołowania na niewysokim pionowym słupie. Wszystko to zachowywano w każdej wiosce do Zielonych Świątek, podczas których, dla przyjaźniejszej pory roku, lud zabawiał się nieraz jeszcze weselej, niż na Wielkanoc. Przez pierwszy i drugi dzień Wielkiej nocy ogień w domach wieśniaków był wszędzie zagaszony, bo nie gotowano tam żadnej strawy posilając się tylko święconem rano, w południe i wieczorem, oraz krupnikiem z miodu i wódki. [...]

Wielkanoc bywała zawsze domową uroczystością wielkiej doniosłości. Zgromadzała bowiem prawie każdą rozpierzchniętą po świecie rodzinę pod dach domowy, dla ogrzania przy rodzinnem ognisku. [...] To też w pierwszym dniu święta każda rodzina pozostawała sama z sobą, drugi zaś i trzeci (tak po dworach jak u ludu) przeznaczony był na wzajemne odwiedziny sąsiedzkie, a zabierano z sobą i dzieciarnię.

dyngus śmigus

(Z notatek Zygmunta Glogera)

Początek tego zwyczaju musi być bardzo starożytny, skoro widzimy go zarówno u kolebki ludów aryjskich w Azyi, jak i u nas w Słowiańszczyźnie. Birmanwie w Indyach wschodnich, obchodząc w kwietniu wesołą trzydniową uroczystością zakończenie starego roku, mają zwyczaj *„obmywania się z grzechów starego roku przez wzajemne oblewanie wodą"*. Jak opisuje Anglik Symes, wody leją się wówczas niespodziewanie z okien i dachów na głowy przechodniów. W pałacu wicekróla, goście zostawieni byli na pastwę 30-tu panien dworu, które wpadłszy na salę z konewkami i sikawkami zaczęły niemiłosiernie oblewać: *„Oddaliśmy im za swoje, powiada Symes — aż wody zabrakło"*.

W Polsce zwyczaj ten starodawny przywiązano do drugiego dnia Wielkiejnocy i co szczególniejsza, narzucono mu nazwę niemiecką. Już Libelt zauważył, że nasz „dyngus" jest spolszczeniem niemieckiego wyrazu Dünn gass, znaczącego cienkusz, polewkę wodnistą, chlust wody. Brückner i Karłowicz powiadają znowu, że słowo dyngować pochodzi z niemieckiego dingen — wykupywać się, czasować. Dano bowiem okup czyli „dyngus" żakom i chłopcom wiejskim, składając im do kobiałki jaja i małdrzyki za to, aby nie oblewali wodą. Śmigus zaś przerobiono ze Schmackostern, gdy przy zlewaniu wodą w łóżku śmigano oblewanego palmą lub prętem. Nie należy z tego sądzić bynajmniej, aby zwyczaj ten przyniesiony został do Polski przez Niemców. Przeciwnie, nazwy te tylko dowodzą, że chłopcy polscy chodząc po wszystkich domach, nie pomijali osiadających w Polsce mieszczan niemieckich i zmuszali do okupu nazywając go w języku tych, którzy się pieniędzmi okupywali. A choć lud w niektórych okolicach przechował dotąd polską nazwę: lejka, oblewanki, polewanki, to jednak upowszechniła się i ustaliła nazwa cudzoziemska spolszczona, tak jak tysiące nazw innych, a oznaczała okup, o który głównie swawolnikom chodziło. Synod duchowny dyecezyi poznańskiej za Władysława Jagiełły w uchwałach swoich przeciw starym zwyczajom zabobonnym, powiada do duchowieństwa w artykule zatytułowanym „Dyngus prohibeatur": *„Zabraniajcie, aby w drugie i trzecie święto wielkanocne mężczyźni kobiet a kobiety mężczyzn nie ważyli się napastować o jaja i inne podarki, co pospolicie nazywają dyngować, ani do wody ciągać"*.

Kronika ruska odnosi ten zwyczaj do czasów pogańskich, dodając, że Rusini tak dalece przesadzali w zwyczajach śmigusowych, iż osoby płci obojej wrzucano nieraz swawolnie do rzeki, przyprawiając niejedną o śmierć. — Ksiądz Stanisław Grochowski, poeta czasów zygmuntowskich, będąc obecnym w Miechowie podczas chrztu pewnego Tatarzyna dopełnionego przez biskupa Macieja Pstrokońskiego, upamiętnił ten wypadek wierszem, któremu dał tytuł: „Miechowski Śmigorzt albo wielkanocna kolęda i t. d." Z mowy księdza Makowskiego mianej r. 1636 na pogrzebie słynnego kaznodziei Fabiana Birkowskiego, widzimy, że w poniedziałek wielkanocny rano młodzi mężczyźni oblewali panny, że w południe obchodzono tak zwany Emaus, a nazajutrz panny polewały młodzieńców wódką różaną. Przy dyngusowaniu w poniedziałki i wtorki wielkanocne, przebierano się w suknie osób płci drugiej. Za Władysława IV Beauplan wspomina o oblewaniu się wodą na Ukrainie. Ksiądz Wojsznarowicz, pisząc kazanie na zgon królowej Cecylii Renaty w Wilnie r. 1644, powiada, że *„Wilno zamiast śmigustu, śmierć dało królowej w upominku"*, t.j. że umarła w dniu śmigusowym.

Na Kujawach był zwyczaj, że parobek w dniu tym właził na dach karczmy wioskowej, z miednicą w ręku i pobrzękując w dno takowej, obwoływał dziewki, które będą oblewane i zapowiadał, ile dla której potrzeba będzie do jej szorowania wozów piasku, perzu na wiechcie, grac do skrobania, ile kubłów wody i mydliska. Tak to wyglądało, jakby śmigus był kąpielą po pokucie wielkopostnej, połączonej niegdyś z zaniedbaniem cielesnem.

Lud mazowiecki odróżnia dyngus od śmigusu. Chłopcy wiejscy chodzą w święta wielkanocne po „dyngusie" czyli włóczebnem od domu do domu, śpiewając Alleluja i zbierając do kobiałki jaja i co dadzą ze święconego, z czego sobie potem wyprawiają ucztę. Śmigusem zaś nazywają Mazurzy oblewanie dziewcząt wodą przez chłopców w drugi dzień Wielkiejnocy i chłopców przez dziewczęta w dzień trzeci, co nieraz przy studni kubłem się dokonywa. Chodzących „po śmigusie" zowią „śmigustnikami" a rózgi wierzbowe lub leszczynowe i brzozowe, które noszą jako palmy, zowią „śmigustnicami". W wielu okolicach dostawszy w chacie podarek zwany dyngusem lub śmigusem, proszą, aby im dano wody do picia, której trochę upiwszy, wylewają resztę na tego, co im ją podał i innych, poczem umykają wśród śmiechu. Dzieci, mali chłopcy i dziewczęta chodzą nazajutrz po parobczakach i śpiewają wszedłszy do świetlicy.

Przyszliśmy tu po śmiguście,
Ale nas też nie opuśćcie,
Placków, jajek nie żałujcie,
Bo jak nic nie dostaniemy
Wszystkie garnki potłuczemy.

lub:

Ja małe dziecię,
Jako mnie widzicie,
Palmę w ręku noszę
I o dyngus proszę i t.d.

WYBRAŁ: JULIUSZ ŚWIREDO
Fot. GABOR LÖRINCZY

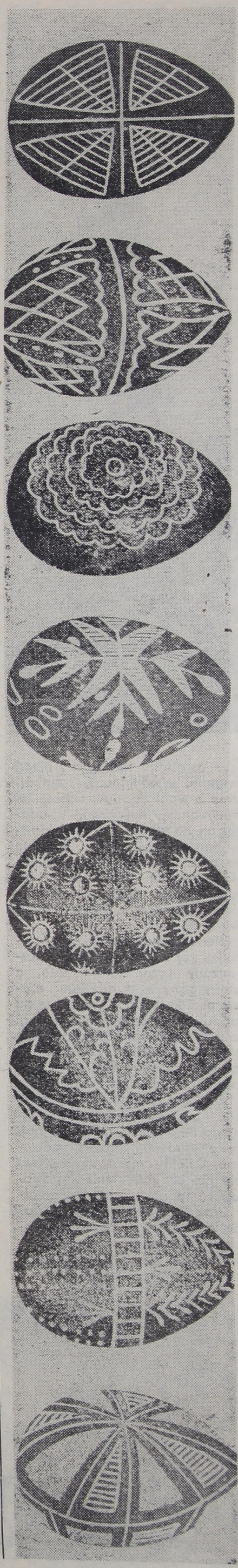

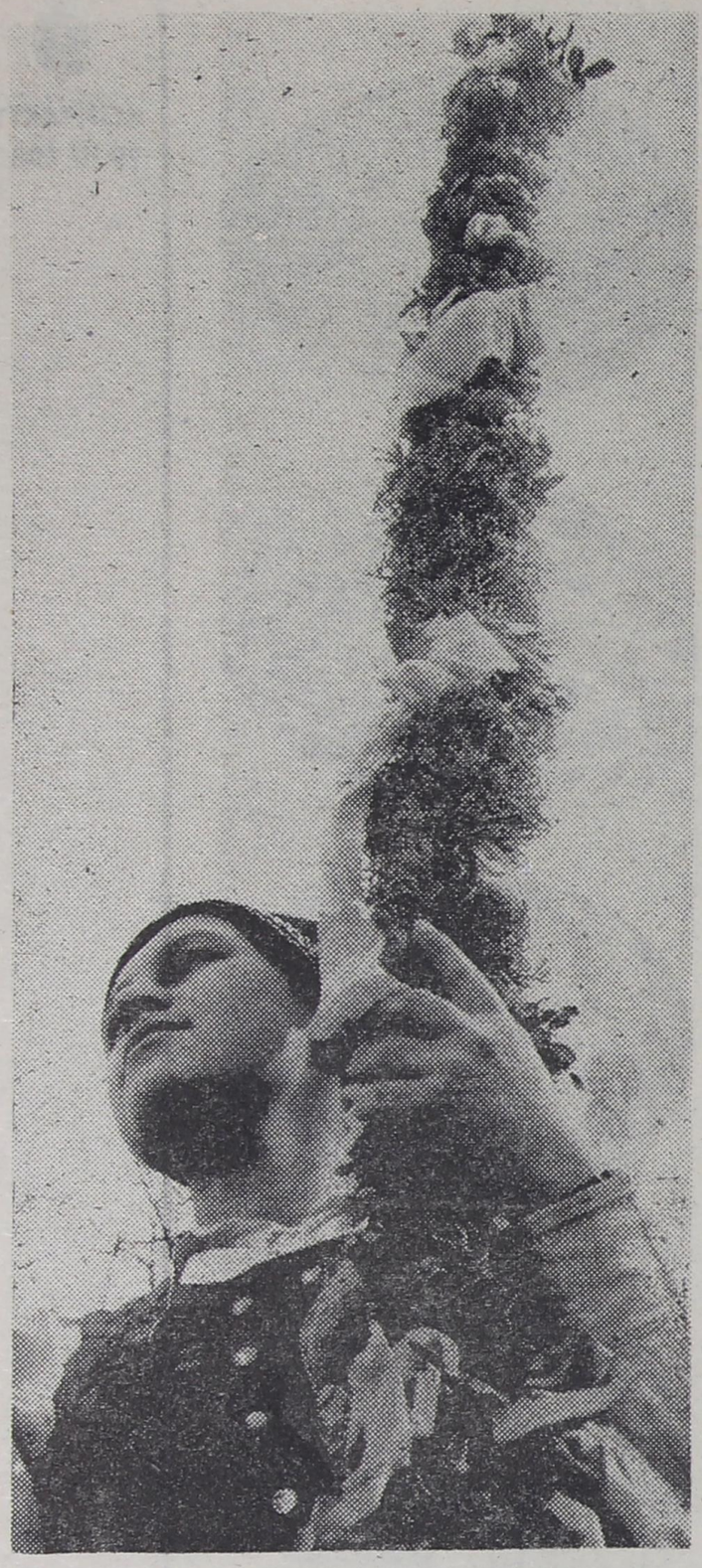

Niedziela palmowa w Łysych

foto-reportaż Gabora Lörinczego

W ostatnią niedzielę przed świętami Wielkiejnocy, punktualnie o wpół do dwunastej, w drewnianym kościółku, zbudowanym na skraju wsi Łyse (dawny powiat kolneński), zbierają się całe rodziny. Przynoszą – własnoręcznie wykonane z bibułki i gałęzi drzew iglastych – wielkie, kolorowe, kilkumetrowej nieraz długości, palmy.

Niepowetowaną szkodę wyrządził tej pięknej tradycji, prowadzony przez ostatnie lata, a rozstrzygany w przededniu uroczystości kościelnych, konkurs na najładniejszą palmę kurpiowską. Kobiety zwabione możliwością otrzymania kilkuset złotych, ubarwiały swoje rękodzieła mnogością bibułek i prześcigały się w ilości produkowanych palm. W roku bieżącym rozsądek zwyciężył: z korzyścią dla pięknej, czystej tradycji, konkurs odwołano. Dzięki temu palmy wprawdzie nie ozdobiły sali wystawowej, za to nadały niepowtarzalny urok Niedzieli Palmowej. Turyści zaś mogli podziwiać wielometrowe wytwory oryginalnej obrzędowej sztuki kurpiowskiej – w całej ich okazałości.

daleko do siódmego nieba

Różnie spędzam doroczne święta — mówi 38-letni Stanisław Fiedor. — Na dworcu, w ubikacji publicznej, w parku. Kilka razy zwijała mnie milicja, dostawałem pałką i wędrowałem do aresztu, a tam chleb, czarna kawa. Potem wyrok za włóczęgostwo w wysokości czterech—pięciu tysięcy złotych! Gdybym miał taką sumę, czułbym się milionerem! Zawsze musiałem więc tę karę odsiedzieć: bite trzy miesiące.

W więzieniu było lepiej niż w niejednym zakładzie dla psychicznie chorych czy domu opieki społecznej. Tam krzyczeli na człowieka, bili, uważali za wariata. Odbierali wszelkie prawa decydowania o sobie. O wszystko musiałem się pytać, prosić. Czułem się małym, ściśniętym człowieczkiem, niepotrzebnym, czekającym w kolejce na swoją śmierć. Sytuacja ta okropnie mnie przygnębiała. Nie znosiłem też pisków i krzyków wariatów. Musiałem stamtąd uciekać, żeby nie wysiadły mi nerwy.

W więzieniu oddychałem z ulgą. Siedziałem za swoje i koniec. Przysługiwało mi łóżko, miska gorącej zupy. Chętnie bym tam został na stałe, lecz odstraszała mnie jedna myśl: „Jesteś więźniem. Mieszkaj na ulicy, cierp głód, ale budynek ten zostaw dla innych. To dom nie dla ciebie". Zawsze bardzo pragnąłem być wolnym człowiekiem.

Do redakcji trafił jak wielu innych interesantów. Ubrany był w starą, wytartą jesionkę, rozpadające się buty i podarte spodnie. Powiedział na wstępie: „Jestem, jak pan widzi, bez domu i bez pracy. Od trzech dni nic nie jadłem. Mam wprawdzie w kieszeni czterdzieści złotych, lecz, proszę mi wierzyć, trzymam je na najgorsze".

Wyprawiłem go na obiad. Przyjął pieniądze z ogromnym zażenowaniem, zapewniając, że wstąpi do najtańszego baru i zje cokolwiek. „Żołądka pan nie oszuka" — rzuciłem mu na odchodne. Odparł: „Już tyle czasu się tułam, że mój żołądek rozumie mnie bardzo dobrze. Bardziej niż... ludzie".

Pora była nie najszczęśliwsza — godzina blisko trzynasta w sobotę. W książce telefonicznej znalazłem szybko kilka interesujących mnie instytucji: Wydział Zdrowia i Opieki Społecznej przy Urzędzie Wojewódzkim, Dział Służb Społecznych przy ul. Nowogrodzkiej, Polski Komitet Pomocy Społecznej przy ul. Sikorskiego, Klub Seniora w Zambrowie. Wykręciłem numer Wojewódzkiego Ośrodka Opiekuna Społecznego. Przedstawiłem sprawę. Odpowiedział przyjemny dziewczęcy głos: „Niech pan go wyśle do nas, to załatwimy".

Wojewódzki Ośrodek Opiekuna Społecznego mieści się przy ul. 22 Lipca. Za biurkiem dwie panienki trawiły czas na wesołych opowiastkach. Nagle przerwały śmiech, zamieniły się w słuch i tylko od czasu do czasu rzucały przypadkowe pytania: „Pan skąd?" „Gdzie pan poprzednio mieszkał?" „Gdzie był zameldowany?"" „W Andrzejewie? — zdziwiła się jedna. — Nie wiem, czy będziemy mogły panu coś pomóc, bo opiekunka z tego rejonu jest akurat w terenie". Wreszcie wyskoczyła z rozwiązaniem, jakby dopiero co odkryła Amerykę: „A z rodziny nie ma pan nikogo?"

Rozmowa upłynęła na pytaniach wiodących donikąd. Wiadomo: urząd. Kultura nakazuje, by z delikwentem zamienić choć kilka zdań. Na pewno to mu nie pomoże, ale pracownikowi nie zaszkodzi. W sumie: pozór zainteresowania i niezbyt udana próba zrozumienia.

Siedzący na krześle Fiedor zgarbił się jeszcze bardziej, zapatrzył w blat biurka i mówił mechanicznie, nie zwracając uwagi na słuchających. Widać nie raz opowiadał w urzędach opieki społecznej swoją tragiczną życiową epopeję. Na każde pytanie udzielał informacji dokładnych, z nazwami miejscowości, datami: „Mamusia została zabita przez bandy w 1945 roku. Tatuś pracował w prezydium jako woźny. Miał kłopoty z utrzymaniem rodziny, bo niewiele zarabiał. Po wioskach za proszonym jeździł nieraz. Na Boże Narodzenie przywoził kawałek mięsa. Na Wielkanoc kilkadziesiąt jaj. Czasami jakiś datek otrzymał od księdza. Coraz bardziej zapadał na astmę. Zmarł 20 listopada 1957 roku. Siostra przeszła do wyznawców Jehowy. Mówiła: »Zmień wiarę, to pomogą i tobie«. Sprzeciwiłem się. Nie mogę teraz nawet jej odwiedzić, bo ostatnio szwagier mnie pobił i wyrzucił z domu. »Dziadów nie potrzebujemy« — krzyczał za mną".

Maria Grajewska i Wiesława Goryca wzruszyły ramionami: „Trzeba by panu jakoś pomóc, lecz co da się zrobić w Łomży o tej godzinie?" Stanisław Fiedor skierował się ku wyjściu. Do żadnej z tych panienek nie dotarło, że człowiek ten naprawdę nie ma gdzie się podziać. Przyszedł z ulicy po pomoc, po wsparcie do instytucji, która przecież tym się zajmuje, i nie otrzymał nawet kwitka. Został zwyczajnie odprawiony na ulicę.

Zadzwoniłem do wojewody. Już wyszedł. Wiceprezydent miasta, Jan Cychol, był wręcz oburzony za przyjście akurat do niego z taką sprawą: „Miałem już takich trzech. Włóczą się, nie pracują, tylko na zapomogę liczą". Fiedor przedstawił koleiny życia. „No, właśnie. No, właśnie — podchwycił wiceprezydent. — Był pan w Warszawie, był pan w Bydgoszczy, w Białymstoku, a na osiedlenie i znalezienie pracy wybrał pan akurat nieszczęsną Łomżę!" „Bo, widzi pan, panie prezydencie — wyjaśniał Fiedor — pochodzę z Andrzejewa, a ono teraz należy do Łomżyńskiego." „No, niby tak, niby tak, ale to gmina powinna panu wszystko załatwić." „Do Andrzejewa nie wrócę, bo zrobili ze mnie pośmiewisko!"

Wiceprezydent nie krył zakłopotania. Chodził po gabinecie. Zastanawiał się. Wydał sekretarce polecenie przedzwonienia do kierownika Wydziału Zatrudnienia, Pomocy Społecznej i Spraw Socjalnych, Dominiki Brzózko. Po kilku informacyjnych zdaniach — nadzwyczaj prosty rezultat rozmowy: „No, co z nim zrobić?" Wreszcie zdecydowali się na wypłacenie pięciuset złotych zapomogi.

Zwróciłem się do pani Brzózko: „Dobrze. Pan Fiedor zgłosi się do pani w poniedziałek, ale przecież do tego czasu musi się gdzieś podziać. Ma iść na dworzec lub spać w publicznej ubikacji?"

W biurze kilka życzliwych pań podkleiło taśmą strzępy skróconego odpisu aktu urodzenia Fiedora, jedynego dokumentu, jaki ma zawsze przy sobie. Po kilku minutach znalazły się pewne szanse na ulokowanie bezdomnego w POM-owskim ośrodku szkoleniowym, lecz tylko przez sobotę i niedzielę. W poniedziałek mieli zjechać kursanci.

Na miejscu sprawa wcale nie okazała się taka prosta. Wprawdzie pani Kobylińska, współpracująca z panią Brzózko, sprawę uzgodniła z dyrektorem, Zygmuntem Grygo, lecz gdy przyszło do konkretów, szef firmy miał wątpliwości: „Bo, widzi pan, nie wiem, co to za człowiek. Czy on mi nie podpali tego ośrodka. Nie zdewastuje. Ludzie są różni. Przepraszam, że patrzę na te sprawy bardzo ostrożnie. Już raz sparzyłem się i teraz nawet na zimne dmucham. Mieliśmy tu takiego stróża — rozważał dalej dyrektor. — Zmarł nam na terenie zakładu. Żeby pan wiedział, ile przez to mieliśmy kłopotów. Najpierw dochodzenie, czy jego nikt nie zabił, nie zatruł, później wszelkie formalności pośmiertne. Jeszcze w dodatku okazało się, że w swojej kufajce miał zaszyte dolary. Trzymał je też na książeczce. Miał zaoszczędzonych kilkadziesiąt tysięcy złotych. Po spadek zgłosiła się rodzina. Chcieli nam jeszcze wytoczyć proces. A taki, on, cholera, oszczędny był, że chudł mi w oczach! Osobiście musiałem przypilnować, żeby na obiady chodził. Mówię panu: ciężko jest takim ludziom żyć, lecz jeszcze gorzej umrzeć, bo cały później kłopot spada na ich opiekunów".

Wreszcie się zgodził. Wydał polecenie kucharzowi, aby zaopatrzył Fiedora w zupę. Mnie zaś sprowokował do złożenia za niego gwarancji.

Wierzę Fiedorowi na słowo, bo w tej całej masie wątpiących i lękających się — bezdomnemu człowiekowi ktoś musi zaufać.

Jednak dyrektorowi to nie wystarczyło. Wydał mi wręcz polecenie, żebym przypomniał łomżyńskiej opiece społecznej, iż w jego ośrodku może ten człowiek pozostać tylko do poniedziałku, no, powiedzmy, do wtorku. Bo też się na takim przypadku sparzył. Oddelegowywano do niego różnych ludzi, początkowo na dwa-trzy dni, a później musiał ich przetrzymywać przez kilka miesięcy. „Ale miejmy nadzieję — dodał na koniec — że opieka tym razem słowa dotrzyma."

W poniedziałek Fiedor ponownie przyszedł do redakcji. „Gdyby mnie tam chcieli zatrudnić — powiedział — byłbym w siódmym niebie. Dostałbym swój kącik. Jest tam nawet kuchnia." „Niech do nas przyjdzie, gdy będzie w trudnej sytuacji — odpowiedział przez telefon dyrektor POM-u. — Poobserwujemy go. Może w przyszłości znajdzie u nas nawet jakąś pracę."

Odwołałem się też do pozostałych instytucji łomżyńskiego miłosierdzia. Dyrektor Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej Urzędu Wojewódzkiego, Konstanty Znosko, przerwał mi wywód niemal natychmiast po wymienieniu nazwiska tułacza: „On uciekł z zakładu opieki społecznej z Juszkowa koło Bydgoszczy. Nakradł i uciekł. Niech do nas się zgłosi, to wypiszemy mu bilet kredytowy, dostanie pieniądze na dietę. Niech tam wraca, gdzie dostał swój kąt. On lubi się włóczyć i prosić. Miał pracę w Państwowym Domu Opieki Społecznej dla Dzieci w Łomży, przy Armii Czerwonej. Też dopuścił się kradzieży i uciekł".

Podobną opinię usłyszałem też od pani z Działu Służb Społecznych przy ul. Nowogrodzkiej: „Był u nas wiele razy. Zawsze otrzymywał jakieś wsparcie. Nawet dostał pracę, ale co, znowu zachciało mu się jechać w Polskę".

— Z tą pracą było tak — wyjaśnia Fiedor. — Owszem, otrzymałem ją, ale co z tego, gdy nie miałem gdzie mieszkać. Przez pewien czas nocowałem na dworcu. Czepiała się mnie milicja. Sokiści. Nie chciałem znowu być karany.

Dyrektor instytucji, w której dwa lata temu pracował Stanisław Fiedor, powiedział: „Nie ma nawet co wspominać. To był drobny incydent z jednym z pracowników, i wcale nie na tle kradzieży. Przyszedł wtedy do mnie i poprosił o rozwiązanie umowy. Nie wiem, czy był tak zdenerwowany, czy po kieliszku. Zachowuje się jak normalny człowiek i nie sądzę, żeby musiał przebywać w zakładzie dla psychicznie chorych. Mogłoby to nawet być dla niego zgubne. Zdarza się nieraz, że psychiatrzy pomylą się i skierują pacjenta nie tam, gdzie trzeba. Zresztą »głupota« jest pojęciem względnym. Gdybym miał etat, chętnie zatrudniłbym tego człowieka ponownie, ale sam pan wie, sama praca go nie urządza. On musi mieć kawałek swego kąta, a tego w zakładzie dostać nie może".

Fiedor rozważa postawione mu zarzuty: — Jak ten dyrektor wydziału mógł tak o mnie powiedzieć? Do Juszkowa nie pojadę. Powiedziałem to dyrektorowi, panu Rączce, że wyjeżdżam, i on się na to zgodził. Dlaczego teraz oskarża mnie o kradzież. Jest to straszne miejsce. Obok znajduje się dom wariatów. Dzieją się tam okropne sceny. Wolę się tułać, nawet się powiesić, ale tam nie wrócę. Jestem normalnym człowiekiem i chcę być w taki sposób traktowany. Nie liczę na litość, bo jej u nikogo nie wywołam. Nie liczę na życzliwość, bo jej wśród ludzi nie ma. Jeden z pracowników Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej w Łomży, taki niski, krępy, w okularach, powiedział mi: „Niech pan do nas więcej nie przychodzi, bo pan się doigra, że skieruję pana do Choroszczy." Skierował mnie do Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej w Zambrowie. Powiedział: „Tam pana ulokują w Klubie Seniora. Pojechałem, lecz na próżno. Usłyszałem odpowiedź: „Swoich mamy dosyć, a jak pan nie ma z sobą co zrobić, to niech się powiesi. Sznur panu dam".

Kierowniczka zambrowskiego Klubu Seniora, Danuta Matysiak — mówi po westchnieniu Stanisław Fiedor — po długich prośbach przydzieliła mi spodnie. I tak mi się na nic nie zdały, bo ledwo sięgały za kolana. Byłem bardzo głodny, a w kieszeni ani grosza. Prosiłem o kromkę chleba. Wygonili mnie: „Jeszcze czego? A do roboty weź się, cholero, nie będziesz łaził i dziadował. To każdy może". Od tamtego czasu omijam to miasto z daleka. Nie chcę pokazywać się też w instytucjach opieki społecznej. Wiem, że nie otrzymam od nich takiej pomocy, jakiej potrzebuję do życia: pracy i kawałka swego kąta.

STANISŁAW ZIELIŃSKI
Fot. GABOR LÖRINCZY

interwencja

ROZTERKI

widziane z kolejki

Przed paroma miesiącami, w komentarzu poświęconym wydarzeniom w Polsce, tygodnik „Jeune Afrique" (największe i najbardziej popularne czasopismo afrykańskie) wyraził obawę o rozwój obecnej sytuacji politycznej w naszym kraju, ponieważ — jak twierdził autor artykułu — wszystkie uczestniczące w niej strony przejawiają objawy myślenia magicznego. Myślenie magiczne — wyjaśnijmy — polega na oddziaływaniu na rzeczywistość nie w oparciu o wiedzę o określających bieg zdarzeń prawach przyczynowych, lecz za pomocą symboli. W Afryce dobrze wiedzą, czym jest magia. Dopiero niedawno, przejmując z Europy idee postępu społecznego, zarzucili operacje na symbolach na korzyść działań bardziej skutecznych.

Ale o tym dowiaduję się dopiero w domu. W kolejkach z zasady nie czytam prasy zagranicznej. Wobec groźby, że znów niczego nie przywiozą, wszyscy jesteśmy równi, nie chcę więc wyróżniać się posiadaniem nawet tak znikomych przywilejów. Za to patrzę i słucham. Niewiele stąd można zobaczyć. Nie widać, na przykład, tego, co najważniejsze: czy przywiozą mięso o 15.00, skoro nie przywieźli ani o 9.00, ani o 12.00. Natomiast w kolejce dużo się słyszy. Można chociażby dowiedzieć się, jak leczyć pospolite choroby: katar, nadciśnienie czy cukrzycę. Można też zebrać użyteczne wskazówki, jak wykorzystać resztki żywnościowe, aby nic się nie zmarnowało. Ale to przecież nie wszystko. Jeżeli ma się słuch dostatecznie wyczulony, można również usłyszeć tętno życia społecznego kraju.

Z przodu sprzeczka. Nie, tym razem nie dotyczy ona tego, kto stał naprawdę, a kto nie stał. Wywołuje sprzeczkę pani, która twierdzi, że jedzenia w Polsce jest dosyć, a wiadomo, dlaczego nie dają do sklepów. Ktoś inny oponuje, nieśmiało zresztą. Wygląda na to, że większość wierzy w tę brednię. A gdyby nawet nie wierzyła, to — wobec nastrojów, ujawniających się w kolejce — głośno tego nie powie. Pozorną zgodność poglądów nieoczekiwanie burzy stojąca blisko drzwi sklepu (zazdrościmy jej wszyscy trochę tego miejsca) staruszka. Głośno powiada, że dosyć już strajków. To budzi niemal powszechny sprzeciw. W tej kolejce strajk wciąż jeszcze uchodzi za środek skuteczny na wszystkie niedomogi społeczne.

Kiedy stoi się długo w kolejce, można usłyszeć to, co niedopowiedziane i co jest tylko ukrytym podtekstem. Na przykład — że stojący razem z nami ludzie zostali odzwyczajeni od samodzielnego myślenia z obawy, aby myśląc nie popełniali błędów. Teraz stracili większość drogowskazów, wedle których dotąd kierowali się w życiu. Czują się tym bardziej osamotnieni, że zaczynają tracić nadzieję. W sierpniu uwierzyli we własną siłę i w rychłą zmianę wszystkiego na lepsze. Zmieniało się rzeczywiście, nie tak szybko jednak, jak oczekiwali. Tymczasem życie stało się nie do wytrzymania trudne. Z uporem więc powracają do myśli o tym, co było przyczyną ich sukcesu. W kolejce można nawet usłyszeć głosy, że gdyby wszyscy i na długo zastrajkowali, żywności byłoby pod dostatkiem.

W kolejce obowiązuje atmosfera cierpliwego wyczekiwania, dyscyplina. Powstaje nowy typ więzi społecznej, groźnej, bo zbudowanej na wspólnocie przeżywanych razem rozczarowań i frustracji. Można zająć miejsce i pójść gdzie indziej, do innego sklepu, i tam też ustawić się w kolejce. W takim przypadku istnieje pewność życzliwego przyjęcia z powrotem do tej pierwszej kolejki. Czy rzeczywiście jest to życzliwość? Sądząc jedynie po skutkach — tak. Ale wystarczy wsłuchać się w wypowiadane przy podobnych okazjach komentarze, by dojść do wniosku, że prawdziwym podłożem są uczucia zgoła innej natury. Jak można w ogóle zakwalifikować moralnie zachowanie się prospołeczne, którego wyłącznym motywem jest gniewna zaciętość?

Każda kolejka ma inną publiczność i każda dostarcza sposobności ku temu, aby naocznie się przekonać, że różnicom zawodu i wykształcenia odpowiadają różnice pożywienia. Rzadko wystaję po mięso, częściej po nabiał. Daje mi to więcej okazji do ciekawych rozmów. Ot, chociażby wczoraj ktoś opowiadał o swoim byłym przełożonym. Znienawidzony za niewłaściwy stosunek do podwładnych — przeszedł do kadry kierowniczej innego zjednoczenia. Niedawno jednak zwykły przypadek zetknął go z dawnymi współpracownikami. Występował jako ekspert instancji nadrzędnej w sporze z pracownikami zjednoczenia, które opuścił. Doszło do gwałtownej sprzeczki. Opuszczając salę obrad ów osobnik powiedział (nazbyt jednak głośno, bo wielu dosłyszało) do przedstawiciela ministerstwa: „A mówiliście, że jestem taka piła, a ja jeszcze za mało ich wyrzuciłem".

W tej kolejce się myśli. Jest dużo czasu, bo serów jeszcze nie przywieźli. Istnieje pomiędzy nami zgoda, że osobnik, o którym nam opowiedziano, nie powinien pełnić żadnych funkcji kierowniczych. Jak go jednak zdjąć i jak przeszkodzić w dalszej karierze, by nie sprowadzić na siebie zarzutu „demontażu państwa" lub, co gorsze, do czegoś takiego, co byłoby faktycznym demontażem, nie dopuścić? To tylko jedna płaszczyzna naszej dyskusji; druga nie jest artykułowana w formie wypowiedzi, lecz raczej odczytywana za pośrednictwem emocjonalnego ich tonu. To niepokój o możliwości skutecznego działania władzy, ograniczanej przez nadmierną pojemność znaczeniową symboli. Ile naprawdę doniosłych zjawisk społecznych może ujść uwadze na skutek nieprecyzyjności takich terminów, jak „siły antysocjalistyczne"?

Czas w kolejce się dłuży, więc rozmawiamy dalej. Jesteśmy, jak się wyjaśniło, jednomyślni, że potrzebna jest silna władza państwowa, ale władza stosująca środki mające moralną aprobatę społeczeństwa. I że demokracja wymaga gwarancji prawnych oraz instytucjonalnych. Wyliczamy je po kolei, spierając się ostro niekiedy, nie za długo przecież, jak gdyby to nam, a nie całemu społeczeństwu, brakowało czasu. No i faktycznie, nie pomyliliśmy się — dyskusja urywa się nagle, po oznajmieniu kierowniczki sklepu, że dziś nie przywiozą. Ale to nic, skoro została nam nadzieja, że jeszcze nieraz spotkamy się w kolejce.

STANISŁAW ZAPAŚNIK

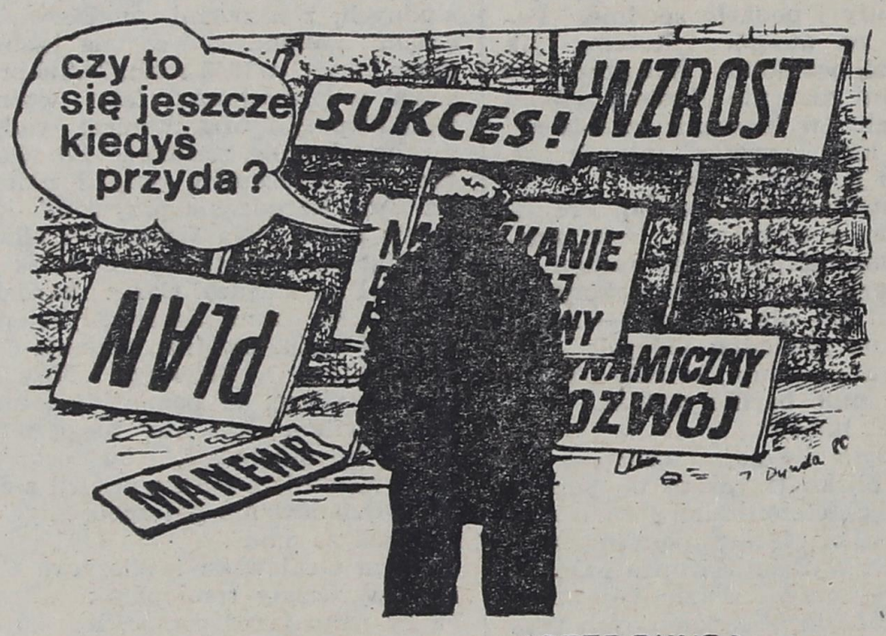

JOZEF DYNDA

ornitologia współczesna

W tych ciężkich czasach, jakie nastały, ludziom nawet dowcipkować się już nie chce. Jeszcze przed rokiem każdy miał w zanadrzu po kilkadziesiąt różnych anegdot na stosowne okazje. Krążyły całe serie milicyjnych, rządowych, gospodarczych, partyjnych, a nawet — o dziwo — religijnych, zwłaszcza po wizycie papieża. Dziś nikt już nie reaguje śmiechem na dolegliwości naszego życia, i jest to dla mnie fenomen, którego nie umiem sobie wytłumaczyć. Co się takiego stało w kraju, który z dowcipem na ustach przetrwał hitlerowską okupację?

Na szczęście — coś się już chyba ruszyło. Przed kilkoma dniami usłyszałem całkiem nowy żart; fakt ten może oznaczać początek normalizacji, tym bardziej że wyszedł z ust pierwszego sekretarza jednego z miejsko-gminnych komitetów partii.

Rozmawiają otóż dwie sąsiadki:

— Kumo — pyta jedna — powiedźcie, co to takiego ta odnowa? Wszyscy wkoło furt o tym gadają, a ja nic nie rozumiem.

— Zaraz wam to wyjaśnię — mówi druga. — Macie przy chałupie sad?

— Mam.

— Rosną w nim wiśnie?

— Rosną.

— Co robią ptaki, kiedy owoc dojrzewa?

— Siadają na gałęziach i obżerają.

— A co wy wtedy robicie?

— Przeganiam.

— Co one wtedy robią?

— Uciekają.

— I co się dzieje potem, jak wracacie do chałupy?

— Siadają od nowa.

— No to już teraz wszystko wiecie i dalej nie ma wam co tłumaczyć!

Dowcip może nie jest szczególnie wyszukany, zawiera jednak kawałek obiektywnej (dowcipnie) prawdy. Po wszystkich naszych kolejnych odnowach ptaszki wracały do wisienek, żeby sobie trochę poskubać, chociaż — jak mi się zdaje — nie były to ciągle te same ptaki. I tak po roku pięćdziesiątym szóstym ptaszyska jawiły się raczej wielkie a nieruchawe. W kilkanaście lat później gałęzie obsiadły coś jakby szpaki, stworzenia nawet inteligentne, tyle że okropnie pazerne na żarcie. Współcześnie mamy chyba do czynienia z wróblami, i one właśnie szczególnie drzewu zagrażają.

Na spotkaniu władz naczelnych wojewódzkiej Łomży z zarządem Towarzystwa Przyjaciół gminnego Goniądza, które przebiegało w normie (jeśli za normę przyjąć temperaturę ostatnich czasów), jeden z negocjowanych postulatów wydał mi się wyjątkowo pouczający i ciekawy zarazem. Towarzystwo postulowało mianowicie likwidację grupy remontowo-budowlanej, działającej od bodaj roku przy tutejszej, gminnej oświacie. Gdybym nie był w miarę obznajmiony z sytuacją ogólną kraju, „w zakresie tak zwanej sytuacji na odcinku ogólnego gospodarowania", pewnie włos by mi się zjeżył na głowie. Otóż rzeczona grupa w ostatnim czasie, jak to się mówi, przerobiła ponad milion złotych — bez widocznych rezultatów budowlanych czy remontowych nawet, a może zwłaszcza! Czy mogło być inaczej, skoro na pięciu członków administracji brygady, w osobach szefa ogólnego, kierownika budowy (?), magazyniera, księgowej i kogoś tam jeszcze, przypadło — tu posłużę się cytatem z wypowiedzi prezesa Towarzystwa, Adama Grabowskiego — „dwóch pracowników fizycznych, notorycznych alkoholików, którzy codziennie, od wczesnych godzin rannych, dawali w rurę, czyli w gaz".

O ewentualnych skłonnościach alkoholowych pracowników administracji na zebraniu mowy nie było. Należy przypuszczać, że ci nie pili w godzinach pracy. Ktoś musiał przecież pisać sprawozdania, do czego — jak wiadomo — potrzebna trzeźwa głowa i ręka niezbyt drżąca.

Informacja o poczynaniach firmy nie zjeżyła mi włosów wcale. Sprawiła to natomiast wypowiedź dyrektora goniądzkiego szkolnictwa, stwórcy i patrona brygady remontowo-budowlanej. Wyjaśnił on w krótkich, ale treściwych słowach, że wszystko jest o'kay, czyli jak ma być właśnie.

— Jakże to tak — powiedział — połowa takich firm w kraju jedzie na głębokim deficycie, więc czego się mnie akurat czepiacie? Że kierownik na etacie, magazynier, księgowa? Przecież nie może być inaczej! A w ogóle tylko milion złotych dali. Co za te pieniądze można dzisiaj zrobić w kraju?

Z ostatnim argumentem mógłbym się nawet zgodzić, chociaż wyliczyłem sobie w miarę dokładnie, że gdybym nawet co tydzień pisał felieton do „Kontaktów", zgromadziłbym milion na koncie w roku, powiedzmy, dwutysięcznym czterdziestym czwartym. Niestety, nic na to nie wskazuje, żebym miał dożyć tych czasów, i dlatego wolałbym jednak zintensyfikować tempo gromadzenia finansów. Tylko jak to zrobić, u licha, skoro społeczny milion nic dla tego decydenta nie znaczy, natomiast pięciu administrantów, obsługujących dwójkę gazmajstrów, to naturalna i oczywista normałka?

Abstrahując od goniądzkiego przykładu, wracam do ornitologicznych rozważań. Otóż boję się, aby tę naszą kolejną odnowę nie zadziobały wróble właśnie. Gdzie człowiek nie obróci głowy, wszędzie pełno tego ptactwa. Przy czym im niższa gałąź, tym zagęszczenie jakby większe. Istoty te, z natury rzeczy figlarne i mało poważne, zakodowały sobie w mózgach pewien schemat postępowania i po prostu chyba już nie potrafią działać inaczej. Nie należą przy tym do szczególnie płochliwych, toteż zwyczajny strach na wróble, odziany w siermiężną kapotę, nie na wiele się tu zda. Ludzie, potrzebny chyba dobry orzeł, bo kto inny rozpędzi to bractwo? Tyle że ptak ten ostatnio niezmiernie jakby rzadki, a kto wie, czy nie ze szczętem nawet wymarły.

WIESŁAW JANICKI

refleksje

ludzkie słowo wrednym ryjom

Sławomir Długozima z Kolna.

Wielu z nich wyróżnia się już zewnętrznie: starszy facet w ogniście czerwonym bereciku, uparcie noszonym przy każdym posiłku, nastolatka w łachmanowym swetrze za kolana, Jezusopodobni o mgławicowym spojrzeniu.

Widują się często, w różnych stronach kraju. Opole, Zakopane, Rzeszów... Trzy, cztery dni są razem — „na styk", dzień i noc, do kresu fizycznego i psychicznego. Potem do domu. Znów ten sam dworzec, hotel i od początku... Wielkie Oczekiwanie i Wielka Potrzeba.

Do Grądów Woniecka zjechali z Płocka, Siedlec, Warszawy, Białegostoku, Ostrołęki, Elbląga, Suwałk, Olsztyna, Łomży i Białej Podlaskiej. Są w różnym wieku, różnej profesji: psycholog, technik ekonomista, instruktor ko., a także studenci i uczniowie.

Późnymi wieczorami mówili: — Wiem, że mi to potrzebne. Ale pewnego dnia mogę stwierdzić: wystarczy, trzeba z tym skończyć, odejść w inną stronę życia.

— Dlaczego to robię? Bo muszę. A gdzie mam to zrobić? Na ulicy, w szkole, w organizacji młodzieżowej, żeby mnie zamknęli? To jedna z niewielu oaz prawdy.

Dzień zaczynali różnie, chociaż podobnie. Patrzyli w oczy: głęboko, bezczelnie, drwiąco, rozpaczliwie. Mieli dziesięć minut. To im musiało wystarczyć. Dziesięć minut na pojednanie z sobą, z innymi, ze światem. Jedni krzyczeli: kocham; drudzy: nienawidzę; niektórzy szeptali racjonalne prawdy.

Gdy tak stali lub siedzieli, przeważnie było cicho. Czasem dobywał się śmiech. Szedł z trzewi, „po witkacowsku". Tężał w powietrzu, obmywał zgromadzonych, jednoczył niespodziankę wspólnej reakcji. Trzy razy siekał. Ci, co ich reszta obecnych niszczyła rozbawieniem, wynurzali się serio:

„Nie sądzę, żebym Ci mówił, że
chciałem zbawić świat,
oglądając telewizję,
kiedy kochaliśmy się,
kiedy mój przyjaciel rozrzucał
dolarowe banknoty,
nad głową dziewczyny, tańczącej
taniec brzucha
pod klarnetami Ósmej Alei,
słuchając jak snułaś projekty
założenia ekskluzywnego
sklepu ze zwierzętami domowymi
w Paryżu."

Słowa mówiącego były mądre, reszta znaków głupia: gest, ruch, mimika, postawa, barwa głosu, st blask oczu, typ urody, przeczyły werbalnej głębi. Ten trzeci, co go dobili śmiechem, też był z Siedlec. Próbował ich zjednać: opowiadał kiepski wic o niemożności pozagrobowej separacji damsko-męskiej, biorąc za dowód dowcipu fragment „Białej gwardii" Bułhakowa. Szczerzył się przy tym, a że fizjonomię miał kabaretową... I tak go dobili, do końca nieświadomego własnego zgonu.

W większości konkursy „mamy w dupie". Jeden — dżinsowy — oficjalnie podsumował Brychtem ceremonie turniejowe: — Ile to nabać się trzeba, zanim powie się ludzkie słowo tym wrednym, przebrzydłym ryjom! Siedzą albo stoją, albo już nieraz w łóżkach żelaznych tkwią bryły mięsa ckliwie śmierdzące, słuch okastrowany zostawiając jak grób na twoje życie. Powiesz: „jedzenie", słyszą — „żarcie". Powiesz: „człowiek", słyszą — „frajer". Powiesz: „kobieta", słyszą — „kurwa". „Życie": „gówno". Ze wszystkim tak. A mówić trzeba, bo jest ich więcej niż ciebie. Czekają. Tego chcą. Żyć nie dadzą!

Może czekają i może tego chcą. Ale nie bezpośrednio. I nie tylko w Grądach. Wszędzie tak jest. Ci, co głoszą słowo, mówią je pustym salom, krzesłom, martwym przestrzeniom sal klubowych, za którymi toczy się prozaiczne życie.

Recytatorzy, bo o nich mowa, tworzą jedynie koła wzajemnego zrozumienia, przynajmniej na tym wyższym etapie, nie środowiskowym, rejonowym czy wojewódzkim, lecz makroregionalnym; tyle bowiem szczebli należy pokonać, by dotrzeć do finału centralnego imprezy zwanej Ogólnopolskim Konkursem Recytatorskim. Organizowany od 26 lat przez Zarząd Główny Towarzystwa Kultury Teatralnej w Warszawie, przy współudziale Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz Centralnego Ośrodka Metodyki Upowszechniania Kultury, turniej gromadzi corocznie około 50 tysięcy wykonawców z całego kraju.

Na najniższych jego etapach jest przebogatą mozaiką dowcipnych, wstydliwych, tępogłowych, ekshibicjonistów, erudytów i przypadkowych. Najczęściej przybywają na konkurs z kanonem lektur szkolnych, dobranych „autorytatywnie" przez nauczycieli języka polskiego. Im głośniejsze nazwisko autora tekstu, im trwalej zapisany w dziejach literatury utwór, tym większa szansa na sukces. Ten przepis na wygraną likwiduje zwykle wszelkie opory. Dziewczęta wcielają się w role męskie, czternastolatki — w starców na progu śmierci, generacja dżinsu i bitu — we wraki ludzkie z obozów zagłady. Stoją nieruchomo, wbici w odświętny przyodziewek, szukając wzrokowego kontaktu z przeciwległą ścianą, nieświadomie szczerzy w tym adresowaniu przekazu. Nie wiedzą, po co mówią i dla kogo. Wśród nich — prawdziwi miłośnicy żywego słowa. Często mają świetne warunki głosowe, interesującą aparycję, dobrą kulturę słowa; brak im tylko właściwej opieki instruktorskiej.

„Międzywojewódzki szczyt" w Grądach Woniecku to już było to. Dominowała tematyka polityczno-społeczna. Brali się za nią najlepsi, którzy nie tylko sięgali po znakomite teksty, ale umieli nadać im sugestywny kształt sceniczny.

Oczywiście Miłosz (— I dobrze — cieszył się docent Zdzisław Dąbrowski z Wydziału Radiowo-Telewizyjnego Uniwersytetu Śląskiego, który przewodniczył sądowi konkursowemu — niech zachłystują się tą wolnością poezji), a obok Herbert, Gombrowicz, Szymborska.

Powiedzieć siebie, swój czas i miejsce, do granic własnej świadomości i artystycznego kunsztu. Sięgano więc, wbrew regulaminowi, po teksty nieliterackie i fragmenty hasła „Polska" z „Wielkiej Encyklopedii Powszechnej"; po felieton Passenta... Przekraczali też wymogi konkursu organizatorzy. Wbrew podziałowi na kategorie recytatorów w wieku szkolnym, dorosłym i wykonawców poezji śpiewanej, uszeregowano występujących z pominięciem tych grupowań. Istotna przecież jest jakość towaru, a nie to, ile lat ma jego producent. Złamano też zwyczaj pokornego wysłuchiwania werdyktu jury. Gdy docent Dąbrowski w towarzystwie dwóch pozostałych jurorów, Krzysztofa Sielickiego (redaktor „Sceny") i Jana Zdziarskiego (ZG Towarzystwa Kultury Teatralnej), odczytał ustalony przez nich osąd, przeszło czterdziestoosobowe grono wykonawców i ich instruktorów zgłosiło wiele zastrzeżeń. Domagano się nie tylko oceny doboru repertuaru, interpretacji, kultury słowa i ogólnego wyrazu artystycznego (co zawarowane jest w regulaminowych przepisach), ale również oceny całokształtu dotychczasowej działalności artystycznej danych wykonawców. Rozeszło się o olecką grupę balladową „Po drodze", której członkowie prowadzą też ożywioną pracę teatralną, dobrze widzianą i wysoko ocenianą w kołach profesjonalistów sceny. Domagano się też zapewnienia równorzędnego głosowania publiczności, dającego ulubieńcowi widowni prawo startu w kwietniowym finale w Słupsku (recytacja) i lipcowym w Olsztynie (poezja śpiewana). Sąd konkursowy na te postulaty nie przystał (docent Dąbrowski: — Primo: ważne, co się tworzy tu i teraz, a nie to, co robiło dotychczas; secundo: głos ludu wcale nie musi być słuszny. Skoro poproszono mnie jako fachowca o ocenę recytacji, robię to, co umiem i nie roszczę sobie praw, żeby oceniać konkurs skoków narciarskich, bo się na tym nie znam). Niemniej ZG TKT, jako główny organizator imprezy, zdaje sobie sprawę — i to od lat — z niedomogów obecnej formuły konkursu. Faktycznie, ulepszana jest ona z roku na rok, a wyrazem dobrej woli TKT, reprezentowanego w Grądach przez Jana Zdziarskiego, było ogłoszenie konkursu na najlepszy regulamin przyszłorocznego OKR-u.

Ale nawet ta deklaracja jest tylko reformistycznym widzeniem sztuki żywego słowa, bowiem jest to koncypowanie artystyczne, utrzymane w obowiązującej konwencji. Ponieważ kwestia twórczego statusu recytacji pozostaje dla mnie sprawą otwartą, pozwolę sobie wrócić do własnych słów na ten temat w pierwszym numerze „Łomżyńskiego Zeszytu Literackiego": *„Wszystkie ważniejsze przeglądy osiągnięć recytatorskich o zasięgu ogólnopolskim mają charakter konkursowy. Każdy z nich obwarowany jest zasadami regulaminowymi. [...] Wyznaczanie ram tematycznych, historyczno-literackich i gatunkowych w odniesieniu do repertuaru mówi o takiej czy innej umowności zasięgu, stawia natomiast jako fakt niepodważalny obecność w recytacji utworu literackiego. Śmieszność tego dogmatu jawi się np. wyraźnie w zestawieniu z dokonaniami konceptualizmu, czyniącego obiektem refleksji samą możliwość i sens uprawiania sztuki w dzisiejszej rzeczywistości. Równie anachroniczną wydaje się formalna asekuracja co do wartości artystycznych dobieranego zestawu utworów. Powszechny wymóg regulaminowy nakazuje korzystanie jedynie z beletrystyki publikowanej w prasie lub wydawnictwach książkowych, co ma stanowić rękojmię jej nośności literackiej. Faktycznie przepis ów przekształca recytatora nie mającego na swym koncie drukowanych dokonań pisarskich w odtwórcę, bowiem skazuje go na wyłączne korzystanie z cudzych, nie zawsze adekwatnych do jego intencji, tekstów".* Zainteresowanych dalszymi wywodami krytycznymi odsyłam do wspomnianej broszury, gdzie w części pozytywnej postulowałem:

„Konkurs recytatorski zbudowany na nowych podstawach powinien gwarantować uczestnikom maksimum swobody we własnym rozumieniu pojęcia „sztuka", jej miejsca w społecznym i indywidualnym systemie wartości oraz roli w życiu jednostek i zbiorowości. Trywialna to prawda, ale trzeba ją tu przypomnieć, że rozwój dyscyplin artystycznych wymaga odpowiedzi na powyższe pytania, nie zaś rzemieślniczej sprawności w ryzach oficjalnych estetyk". Napisałem też wtedy: *„Czas najwyższy, by na progu następnego ćwierćwiecza Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego zmienić widzenie amatorskiej recytacji, uwalniając ją od balastu epigońskiego. Zanim dojrzeje do tego odgórna mentalność, trzeba podjąć rewoltę myślową na niższych szczeblach instytucyjnych. To właśnie od władz kulturalnych któregoś z województw pożądane byłyby propozycje skierowania ruchu żywego słowa na nowe tory. Dlaczego nie miałaby pokusić się o taki zamiar Łomża?"*

Pytanie to padło w marcu ubiegłego roku, gdy jeszcze nie było mowy o „odnowie", stąd słowa o rewolcie myślowej niektórzy białostoccy dziennikarze potraktowali jako gigantyczny nonsens. Tu i ówdzie pomysł wyśmiano, i chociaż śmiech nie stanowi siły dowodowej, to przy braku argumentów — cóż innego pozostawało tradycjonalistom?

Urosłem więc do rangi bzdurotwórcy, na szczęście nie w oczach samych recytatorów. Gdy opuszczaliśmy Grądy Woniecko, jeden z laureatów dosiadł się w autobusie z pytaniem: — I jak? — Wybieg dla koni. — W tej ocenie przewijały mi się obrazy wystawianych na publiczny pokaz, których przez dziesięć minut oceniano jak na zwierzęcym targu. — Rozmawiałem z ludźmi w kraju — kontynuował. — Zapalali się do tej nowej formuły imprezy. Zrobimy ją. — Kilka godzin wcześniej recytował:

„głosem mówionym prosto do was
zapomnianych
przez okoliczne wiatry
abyście uwierzyli w swoją misję
dziejową
w swoje posłannictwo krwi
przelanej dla nas
humanistów i dla mnie
filologa dającego wam bracia
robotnicy stoczni
pośmiertny order czci
i honoru oraz mojej pokory którą
będę wam
składał po nocach kalekimi
wierszami".

Przed nami dziewczyna w łachmanowym swetrze studiowała monotonny pejzaż ojczysty. Droga była niezmiennie prosta. Za autobusem malały Grądy Woniecko, gdzie w pustej sali domu kultury uczennica w workowatym swetrze zostawiła recytowane przez siebie słowa: — A zatem dlaczego Słowacki wzbudza w nas zachwyt i miłość? Dlatego, panowie, że Słowacki wielkim poetą był! Wielkim poetą. Zapamiętajcie to sobie, to ważne! Dlaczego kochamy? Bo był wielkim poetą.

W tym miejscu wykładu jeden z uczniów zakręcił się nerwowo i zajęczał: — Ale kiedy ja się wcale nie zachwycam. Wcale się nie zachwycam! Nie zajmuje mnie! Jak może zachwycać, jeśli nikt nie czyta oprócz nas, którzy jesteśmy w wieku szkolnym, i to dlatego, że nas zmuszają siłą...

JULIUSZ ŚWIREDO
Fot. GABOR LÖRINCZY

pokolenie

WARUNKI PRENUMERATY: Prenumeratę przyjmują Oddziały RSW „Prasa—Książka—Ruch" oraz urzędy pocztowe i doręczyciele w terminach: do 25 listopada na styczeń, I kwartał, I półrocze roku następnego i na cały rok następny; do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty na pozostałe okresy roku bieżącego. Cena prenumeraty: kwartalna 52 zł, półroczna 104 zł, roczna 208 zł. Jednostki gospodarki uspołecznionej, organizacje społeczne zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach RSW „Prasa—Książka—Ruch", w miejscowościach sąd. w których nie ma Oddziałów, w urzędach pocztowych i u doręczycieli. Prenumeratę za zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa—Książka—Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 23, 00-950 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie, nr 1153-20108-139-11; prenumeratę ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy.

PAMIĘTNIK NASTOLATKA

9 listopada 1976 r.

Doświadczenie — zauważyłem — gdy jest w końcu periodycznym powtarzaniem błędów, zda się psu na budę. Wiemy, a jakże by nie, co należy, jak iść, by nie połamać sobie nóg. Więc po co doświadczenie, wszak w większości ranimy się tak czy owak. Zagubiłem się trochę, wprzęgając w prozaiczność. Model obecny jest bzdurny. I co robię? Poddaję się biernie, myśląc, że walczę. Bez autentyzmu niemożliwa jest ekspresja, jedynie jałowość i płytkość. Pozostawianie umysłu na wagarach, długie i częste — uwstecznia doskonale. Nie wierzę w fatum i żadne tam obiektywne przyczyny-warunki. Skłonny jestem przypisać to wszystko zwykłej głupocie.

15 listopada 1976 r.

W rozmaitych tekstach stale napotykam ubranie słowami, pokrycie nimi banalnych oczywistości. Naturalnie, rzecz polega na sile i środkach wyrazu, co stanowi niepoślednią po prostu umiejętność kreacji. Mam tu na myśli sformułowania Spinozy. Najkrócej: chodziło o ciało i duch.

Co immanentne głupocie — to megalomania, która była moją wiodącą cechą, gdy chodziłem ćwierćprzytomny. Wzrok sięgał bliziutko i to w chaszcze, manowce głównie. Wzrok mój dalej sięga. Prawo stada = prawo pięści. To jest funkcja i symetria. Szkoda, że my je tworzymy, skierowując przeciw sobie, z premedytacją niszcząc siebie. Doprawdy absurdalna historia.

zwierciadło duszy

5 grudnia 1976 r.

Nie zacząłem wcale iść w drugą stronę. A zatem: tydzień w Poznaniu, „Polonez", lokal nocny itd. Prymitywne instynkty w tym lokalu. Żałosna sprawa, jak popatrzyłem na podtatusiałych panów. Nie widzę różnicy między takimi lokalami, a dżunglą (chyba tę tylko, że w tej ostatniej odbywa się to naturalnie, a tam przykryte jest maską pozorów). Szkoda o tym pisać — żal po prostu atramentu. Poza tym: tydzień na wsi, gdzie czystsze i naturalniejsze powietrze i ludzie.

16 stycznia 1977 r.

Nie potrafię, nie mogę oglądać „Zakazanych piosenek". Po prostu okrutnie płaczę. Chłopcy, dzieci jeszcze, z granatami w płonącej, zrujnowanej Warszawie. Takie obrazy powodują duszenie w krtani. Nie da się tego opowiedzieć, ale nie sposób tego zapomnieć. A co teraz? Pytam się — co teraz? Sprawa definitywnie przegrana. Koniec. Kropka. Po tym wszystkim, co obecnie, nikogo już chyba nie stać nawet na takie dziecinne odruchy. Zabite zostało wszystko. Jaką staszliwą zarazą jest kłamstwo — ten aktualny stan. Gdy nie ma prawdy, wszystko niszczeje, spaczone jest i skarlałe.

27 stycznia 1977 r.

Świat dorosłych — bardzo subtelne i wyrafinowane chamstwo. Zmieniłem się wiele, musiałem. Chociaż nadal jestem za szczery i uczciwy. Ale to nic — po prostu jestem sobą i będę tym malutkim. No, cóż — nie mogę przegrać życia. Człowiek całe życie uczy się i co z tego wynika? Przede wszystkim — trzeba jako aksjomat dodać do życia dualizm. A więc rozgraniczyć świat dzieci i młodzieży od dorosłych i adekwatnie do tych kryteriów postępować. Nic w tym nie ma trudnego. Chodzi tu tylko i wyłącznie o to, żeby ustawicznie o tym pamiętać i przypominać sobie.

16 stycznia 1978 r.

Codzienne odkrywanie w całopaleniu. Literatury słodki smak zaciera czas odpychając obecność. Odchodziłem daleko. Nic nie ma znaczenia. System jest wyłącznie systemem, pojęciem, abstrakcją. Czasami jesteśmy podekscytowani, podświadomie czując jakby wielkie działanie: a tu wszechobecne Nic. Tak, życie jest mętne, jednak nie wszyscy ludzie są mętami. Ludzie są nieszczęśliwi i dlatego godni współczucia. Rozziew: jak jest, a jak być powinno. Wieczna, otwarta rana istnienia. Prawda, zmyślenie, sen, jawa — to wszystko nasze, ludzkie. Niestety: ilość to nie jakość, jeżeli ta ostatnia ma być dobrem.

31 stycznia 1978 r.

W małym miasteczku dalekiej prowincji zmarł człowiek, który miał w życiu wiele szans. Niedawno zaniosłem go do domu. Nie były to jeszcze zwłoki, czułem bowiem puls na przegubie ręki, która ostatnio, po dwukrotnym uniesieniu kieliszka do rozedrganych ust, była pijana. Mówili, że był przepity; mówili, że był to kiedyś ładny chłopak. Mówili, że miał złe układy i wredne życie, chociaż był to dobry człowiek i musiał tak skończyć. Mówili, że to było do przewidzenia. Teraz przestali mówić, wszystko jest w porządku.

2 lutego 1978 r.

Jerzego K. nasze miasteczko potępiało, chociaż należał do stałych czytelników gminnej biblioteki, która nie tak dawno była powiatową. Jerzego K. widziano często z naręczem czytadeł. Jerzy K. był fioletowy jakiś — podobno od denaturatu. Widziano go jeszcze na śmietnikach i wysypiskach, gdzie grzebał, mimo że miał emeryturę. Nie był awanturnikiem, nie miał zatargów z milicją. Jednego dnia całe miasteczko pokładało się ze śmiechu, gdy dowiedziano się, że Jerzy K., starannie opakowany w szmaty, został znaleziony, wskutek odoru rozkładających się zwłok, w magazynie surowców wtórnych.

3 lutego 1978 r.

Ślub Edmunda M. był wydarzeniem. Nie wierzono, że do tego dojdzie. Rodziny były długo poważnione. Panna młoda mówiła, że nie kocha, ale nie ma innego wyjścia, gdyż wróciła z Ameryki po dwóch latach i ma dużo pieniędzy, a on czekał; każdy inny poleci na jej majątek, więc ona nie może wierzyć nikomu. Pan młody też był na Zachodzie, ale krócej. Byłem na tym weselu obfitości, siedziałem w krzyżowym ogniu dolarów, złota, kożuchów. Po raz pierwszy w życiu zapiłem się szybko i skutecznie, i bardzo mi przykro, bo może już mnie nigdzie nie zaproszą, mimo że tak bardzo lubię być w towarzystwie.

4 lutego 1978 r.

W telewizji, która w naszym miasteczku przejęła rolę kompendium, jakaś waleczno-wojownicza pani, o niezachwianych, ugruntowanych poglądach, stwierdziła, że sztuka Kaliny na ulicy warszawskiej straszy. W przeddzień matka moja, ciężko wystraszona, obudziła mnie, nie mniej wystraszonego jej wyglądem. Wciskała się w kąt ściany, mówiła, że głupia baba powinna jeździć windą, gdy morderca w nocnym kinie telewizji, z nożem uniesionym do ostatecznego ciosu, zadawał go patrzącym, wstrzymując ich oddech i przyśpieszając bicie serc, jakże podatnych na stwierdzenia pani z telewizji. Błagam was, ja kocham swoją matkę.

14 marca 1978 r.

Talent — to predyspozycja, a jakiego kalibru, to wymiar systematycznej pracy, czyli czegoś, co dla większości jest za ciężkie. Naturalnie, mieszczę się także w tej sferze; o ileż jest trafniejsze określenie — sforze. Sforze, szarańczy, która płynie drogą najłatwiejszą, a co za tym idzie — najczęściej zgubną. Oglądałem wczoraj stare szpargały z 1700 r. i co dziwne: jakie to wygląda niedawne i jakie zarazem dzisiejsze — tylko że jakby lepsze. Nie mogłem oprzeć się temu wrażeniu, tej przepaści lat, narodzin, śmierci i całej tej cholernie wrzaskliwej cywilizacji.

Poza tym brak ciszy. Obarczam tym sam siebie, leży to w zasięgu ręki, jak kontakt od światła, którego naciśnięcie staje się niekiedy przedsięwzięciem, czyli którymś etapem lenistwa. Każdy woli akcję szybką, tzw. dzianie się, będąc samemu nieruchomym. Dochodzi więc do paradoksu: chcemy, a nie robimy. Odwieczny problem trawiący lata ludzkie w widzeniu zła na zewnątrz, nigdy zaś w sobie; lubimy więc mieć dobre samopoczucie. Nieumiejętność nazywania tego, co czujemy, i właściwego umiejscowienia rzeczy w należnej hierarchii, tzn. rozsądnej, właściwej. Pokrętność nie zna granic i służy celom formalnym pokrycia zła przez pozory dobra.

Na pozór w tym miasteczku nic nie dzieje się. Godzina 15.00. Koniec zarobków na chleb, koniec kierowników na dzisiejszy wieczór, popołudnie; czas do własnej dyspozycji, nie ograniczony przez nakazy, polecenia, dyrektorków. Rytm małego miasteczka. Nadzieje, czekanie na Godota — takie jest życie. Czyż nie ubogie? Czyżby nie można wytworzyć więcej iluzji, mitów, by nadać większy potencjał dzianiu się. Należy przekraczać kolejne stopnie schodów ku lepszemu, ku szczęściu. Czyżby? To jest dreptanie w kółko. Umiejętność cieszenia się z drobnostek, z rzeczy błahych.

Zbiorowość nadaje to, co przeciętne, a nawet niedorozwinięte lub głupkowate. Zdobywa ono powszechność w zachowaniach, co więcej: rzeźbi osobowość. Staje się nieformalną wartością.

18 kwietnia 1978 r.

Zaznaczenie roku jest istotne, bowiem w tej sytuacji lata są stratami. Nie potrafię znaleźć z nikim porozumienia. Trans alkoholowy i widy takowe potwierdzają szamotaninę słabego. Rzeczywistość i w niej pełzanie, tak płytkie, bezsensowne, że chwile przebudzeń są ukazaniem całej beznadziejności. Niemożliwość zrozumienia czasu obecnego, raczej pogodzenia się z tym, co jest, odsyła człowieka w krainę obłędnego pijaństwa, dotarcia do azylu złudnego. Już nie wola, a biologiczność zagarnia otępiały umysł.

29 czerwca 1978 r.

W kraju „wielkie wydarzenie" — pierwszy Polak w Kosmosie. Jedne wierutne oszustwo i otumanianie ludzi kłamliwą propagandą. Żałosne to wszystko i przyprawia człowieka o torsje. Wygląda to np. tak: ja, piszący te słowa, odkrywam prawo względności — dawno odkryte. Robi się wiele szumu. Porównanie dość delikatne, bowiem nie narażam nikogo na jakieś bezsensowne wydatki. Tutaj sprawa wygląda gorzej. W kraju nie ma co żreć — przynajmniej tu, gdzie mieszkam — istnieją tysiące palących potrzeb, a grube pieniądze wyrzuca się na nic. Równie dobrze Amerykanie mogliby wsadzić w ten Kosmos eskimosa, Indianina, węża, jeża czy też tchórza. Zachodzi pytanie: po co? Ich na to nie stać? A nas? No, cóż, u nas można pozwolić sobie na różne komedie, parodie itp. — nikt w końcu za to z własnej kieszeni nie płaci. Niestety, płaci: szary obywatel, przeciętny człowiek, ograbiany na różne głupstwa i okłamywany. Za te w błoto wrzucone pieniądze można by było np. wybudować w jakimś Kaczym Dołku basen — jakże dzieci by się radowały. Te słowa pisze przeciętny człowiek, ale cóż na to 10 tys. polskich profesorów i docentów? Sam nie wiem. A może tylko ja jeden tak opacznie myślę? Może z głębokiej prowincji mam złą perspektywę? I aby nie rozwodzić się nad parodiami, skwituję to dość wulgarnie: krążymy wokół własnej dupy i utwierdzamy się w kłamstwie, że latamy w Kosmosie. Żałosne to i politowania godne, zwłaszcza gdy wiadomo, że naród tak drążony i sterowany w kłamstwie — przestanie odróżniać, i już chyba przestał, prawdę od kłamstwa, choć następne parodie, acz większego kalibru, jeszcze przed nami. Jak można żyć i cieszyć się — napotykając takie „wydarzenia".

(Dane o autorze do wiadomości redakcji)

WIZERUNEK CHŁOPCA SPRZED POLSKIEGO SIERPNIA 1980 ROKU

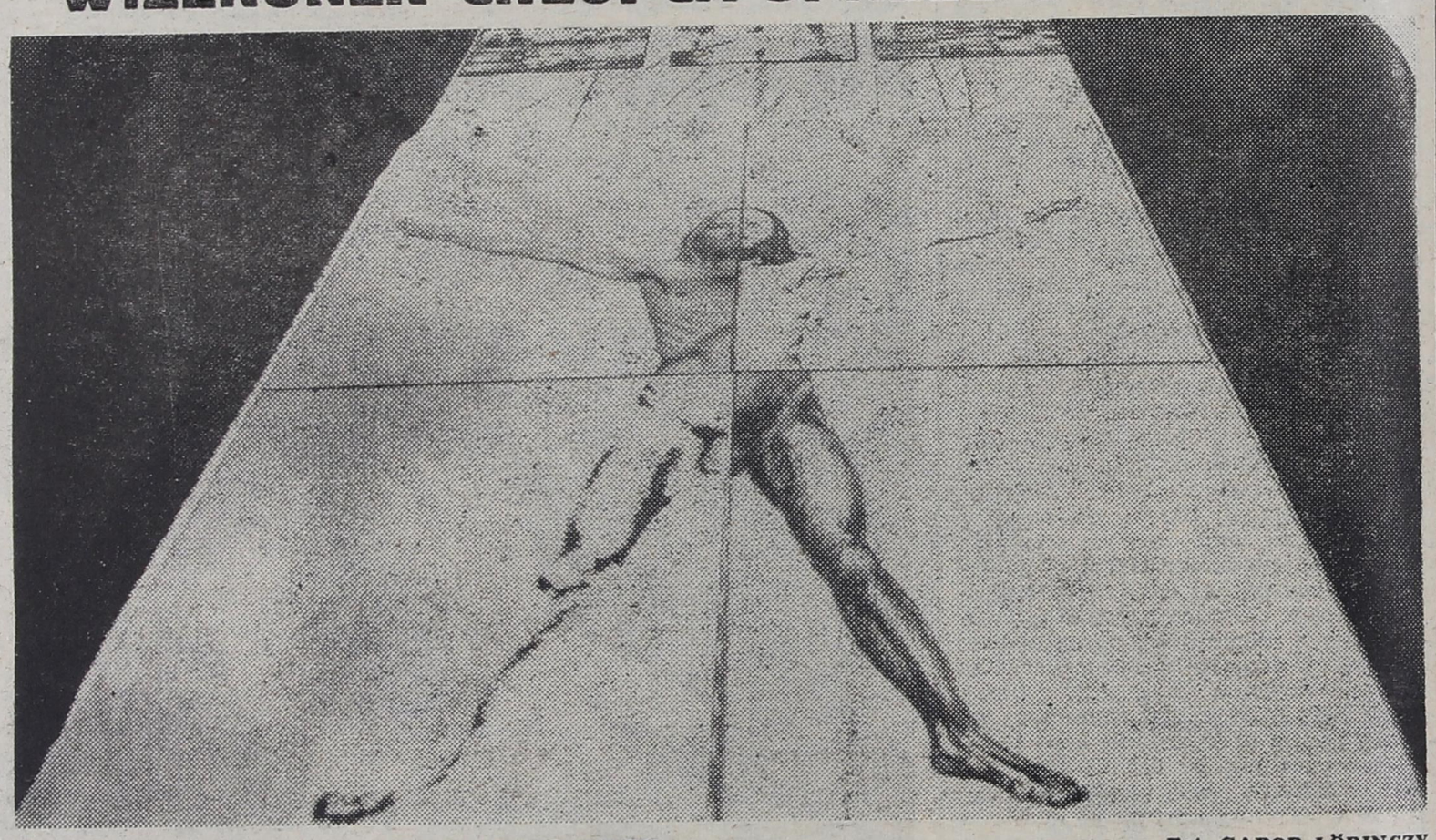

Fot. GABOR LÖRINCZY

KONTAKTY

16.04.1981 TV 22.04.1981

CZWARTEK 16 KWIETNIA 1981 R.
PROGRAM I

6.00. TTR, RTSŚ — chemia, sem. II.
6.30. TTR, RTSŚ — biologia, sem. II.
9.00. Teleferie, m.in. „Żagle" (1) — radziecki film przygodowy.
13.30. TTR, RTSŚ — geografia, sem. IV.
14.00. TTR, RTSŚ — mechanizacja rolnictwa, sem. IV.
14.30. Telewizja w sprawie miliardów.
15.30. „Decyzje piętnastolatków".
16.00. Dziennik Telewizyjny.
16.15. Obiektyw — Wrocław.
16.30. Czwartek TDC, m.in. „Turniej gospodarnych" i „Był sobie człowiek".
17.30. Informator Turystyczny.
17.45. Poligon.
18.15. Telewizja Młodych przedstawia — Turniej Reporterów.
18.50. Dobranoc.
19.00. Sonda — „Śmig".
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.15. „Misja" (5).
21.15. Pegaz.
22.00. „Przygoda i postęp" — program publicystyczny.
22.30. Dziennik Telewizyjny.
22.45. Telewizja w sprawie miliardów.
PROGRAM II
10.00. Sonda — „Śmig".
10.30. Informator Turystyczny.
10.45. „Klawiatura siedmiuset głosów" — koncert organowy.
16.25. Język rosyjski (26).
17.00. Język angielski dla zaawansowanych (1).
17.30. Język angielski (26).
18.00. Program morski.
18.30. „Tak czy inaczej".
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. NURT: praca — technika.
20.30. NURT: praca — technika.
21.00. NURT: matematyka.
21.55. „Klawiatura siedmiuset głosów" — koncert organowy.
22.30. „Bez recept".

PIĄTEK 17 KWIETNIA 1981 R.
PROGRAM I

6.00. TTR, RTSŚ — geografia, sem. IV.
6.30. TTR, RTSŚ — mechanizacja rolnictwa, sem. IV.
9.00. Teleferie TDC — „Żagle" (2).
15.30. NURT: praca — technika.
16.00 Dziennik Telewizyjny.
16.15. Obiektyw.
16.30. „Piątek z Pankracym"
17.00. „Hrabia Gaston — rycerz z Pirenejów" (3).
17.50. Skarbiec.
18.15. „Via Crucis" — relacja filmowa z nabożeństwa wielkopiątkowego, celebrowanego przez Jana Pawła II przed rzymskim Koloseum.
18.50. „Osiołkowe bajeczki".
19.00. Monitor rządowy.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.15. Teatr Faktu — Hanna Krall i Andrzej Brzozowski: „Zdążyć przed panem Bogiem" w reż. Andrzeja Brzozowskiego.
21.15. Rolnicze rozmowy.
21.15. „Listy o gospodarce".
22.05. Dziennik Telewizyjny.
22.20. „Ocalić Danę" — angielski dramat obyczajowy.
PROGRAM II
10.00. „Nieznani bohaterowie" — „Bez łączności".
11.20. „Ziemia ojców" (3) — „Błażenka".
16.30. Język francuski (26).
17.00. Język rosyjski (26).
17.30. Język angielski dla zaawansowanych (1).
18.00. Kino „Obieżyświat".
18.20. Poradnia „Zaufanie".
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.30. „Nieznani bohaterowie" (3) — „Bez łączności".
21.50. Koncert Orkiestry PRiTV w Krakowie.
22.50. 24 Godziny.

SOBOTA 18 KWIETNIA 1981 R.
PROGRAM I

9.00. Teleferie TDC — „Cudowny świat Walta Disneya".
9.50. „Ciąg dalszy napisało życie" — program wojskowy.
10.20. Koncert WOSPRiTV.
11.10. „Kultura 81" — Książka.
12.05. „Partnerzy".
13.50. „Tak tu cicho o zmierzchu" — radziecki dramat wojenny.
15.30. „Z polskiej ziemi" — magazyn polonijny.
16.00. Dziennik Telewizyjny.
16.15. Telewizja Młodych Kosmonautów, m.in. „Wojna planet".
17.25. I Liga piłki nożnej.
18.15. „Jeden dzień w Polsce" — reportaż filmowy.
18.50. „Bolek i Lolek".
19.00. Telewizja Młodych przedstawia — „Decyzje".
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. „Jakub Offenbach" (6) — „Zapomniany walc".
21.05. „Prapremiera" — film dokumentalny.
21.45. Wspomnienie o Annie Jantar.
22.30. Dziennik Telewizyjny.
22.45. Kino Nocne — „Dwoje na huśtawce" w reż. Roberta Wise'a.
PROGRAM II
11.40. „Wyprawa po złoto" wg powieści Jacka Londona.
13.35. Małe Kino: „Miasto" w reż. Mirosława Kijowicza i „Och, och" w reż. Bronisława Zemana.
13.50. „Czas jesieni" — hiszpański program rozrywkowy.
14.15. NRD — kwiecień 81.
15.00 Ryszard Wagner: „Tannhäuser" (1).
16.15. Popołudnie Przygody i Podróży.
17.45. „Ziemia ojców" (3) — „Błażenka".
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. „Takty" — Biuro Muzyki Rozrywkowej.
20.45. „Album wierszy polskich" — Jan Kochanowski.
21.15. „Niebezpieczny pościg" (3) — „W samotni karła".
22.20 „Przeboje mistrzów" (10).
23.00. 24 Godziny.

NIEDZIELA 19 KWIETNIA 1981 R.
PROGRAM I

7.40. Nowoczesność w domu i zagrodzie.
8.10. Emerytury dla rolników.
8.20. „Od słowa do działania" — program Redakcji Rolnej.
8.35. „Telewizjada".
9.00. Teleranek, m.in. „Tylko Kaśka" (5) — „Koty mają się dobrze".
10.30. „Tajemnice benedyktyńskiego opactwa".
11.10. „Dla serca, dla ucha".
11.50. Dziennik Telewizyjny.
12.05. Telewizyjny Koncert Życzeń.
12.50. „Hrabia Monte Christo" — angielski film przygodowy z Richardem Chamberlainem i Tony Curtisem.
14.30. „Bajki przez telefon".
15.10. Losowanie dużego lotka.
15.25. „Juliusz Cezar" — dramat historyczny w reż. Josepha L. Mankiewicza.
17.30. „U wrót krainy zimna" — „Albatros", władca oceanicznych przestworzy".
18.00. Studio Sport.
19.00. „Pszczółka Maja".
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. „Panny z Wilka" wg opowiadania Jarosława Iwaszkiewicza, w reż. Andrzeja Wajdy.
21.55. Sportowa Niedziela.
22.25. „Moje marzenia" — recital zespołu „2 plus 1".
23.05. Kino Nocne: „W upalną noc" — amerykański film kryminalny.
PROGRAM II
10.05. „Frontowe listy" — program wojskowy.
10.30. „Misja" (5).
11.20. „Szkolny walc" — radziecki film obyczajowy.
12.50. Przeboje tygodnia.
14.05. Ryszard Wagner: „Tannhauser" (2).
15.35. „Mój koncert" — Beata Tyszkiewicz.
16.25. Architektura drewniana w Polsce.
16.55. Studio Sport.
17.45. Teatr Telewizji — Karol Hubert Roztworowski: „Judasz z Kariothu".
19.30 Dziennik Telewizyjny.
20.00. „Czary-mary" — francuski program estradowy.
21.05. Program rozrywkowy.
21.55. „Jak nauczyć się szwedzkiego" — czechosłowacka komedia filmowa.
22.35. Bluesy Romana Sliwonika.

PONIEDZIAŁEK 20 KWIETNIA 1981 R.
PROGRAM I

8.50. Studio 2.
9.00. Teleferie: „Wspaniały świat Walta Disneya" — „Czarne charaktery".
9.50. Słowno-muzyczny magazyn egzotyczny.
10.30. „Pani minister tańczy" — polski film archiwalny.
12.00. Dziennik Telewizyjny.
12.15. Muzyka dla pierwszoklasistów.
12.35. Teleturniej.
13.05. Kino-Oko: „Śledztwo w sprawie kosmitów".
14.40. „Gwiazda estrady" — Alla Pugaczowa.
16.05. „Różowa pantera".
16.30. „Złamany pałasz" — western.
18.00. „Jego Magnificencia Rektor Elekt".
19.00. „Pszczółka Maja".
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. Teatr Telewizji — Wojciech Bogusławski: „Henryk VI na łowach" w reż. Bogdana Baera.
21.25. Rozmowy dnia.
21.45. Studio Sport.
2.00. „Osmond'a brothers" — program rozrywkowy.
22.50. „Nie strzelać do muzyki" — reportaż filmowy.
PROGRAM II
11.50. „Granica w górach" — wojskowy film dokumentalny.
12.15. „Sztalugi i konsolety" — film dokumentalny.
13.00. „Jaskółki i amazonki" — angielski film przygodowy.
14.30. „Darek" — wspomnienie o Aleksandrze Żabczyńskim.
15.05. „Zimne nóżki — oczy czarne".
16.35. O scenografii telewizyjnej opowiada Xymena Zaniewska.
17.15. Spotkanie z zespołem Novi Singers.
18.10. „Nad brzegiem ruczaju" — film dokumentalny.
18.40. „Paul Anka w Monte Carlo".
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. „Marylin" — film dokumentalny.
21.20. „Paryż w sierpniu" — francuska komedia filmowa.

WTOREK 21 KWIETNIA 1981 R.
PROGRAM I

9.00. Teleferie: „Rozmowy z marzeń i snów" — czechosłowacki film fabularny.
14.25. Telewizja w sprawie miliardów.
15.30. Telewizyjny Klub Seniora.
16.00. Dziennik Telewizyjny.
16.15. Obiektyw.
16.30. „Dzień dobry w kręgu rodziny".
17.00. „Struś Pędziwiatr przedstawia".
17.20. Polska Kronika Filmowa.
17.30. Interstudio.
18.00 Telewizja Młodych przedstawia — C.D.N.
18.50. „Miś Uszatek".
19.00. Camerata.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.15. „Sól ziemi" (4).
21.35. Program publicystyczny.
22.15. „Między młotem a kowadłem".
22.50. Dziennik Telewizyjny.
23.05. Telewizja w sprawie miliardów.
PROGRAM II
10.00. Antykwariat — turniej bibliofilmów.
10.30. „Sól ziemi" (4).
11.35. „Właściwy człowiek" — program oświatowy.
16.30. Język angielski (27).
17.00. Język niemiecki (27).
17.30. Język francuski (27).
18.00. Dla młodych widzów: „Cała naprzód".
18.30. Spotkania literackie.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
2.00. Antykwariat — turniej bibliofilmów.
20.30. Worek Melomana — polskie filmy dokumentalne z lat 1913—39.

ŚRODA 22 KWIETNIA 1981 R.
PROGRAM I

13.30. TTR, RTSŚ — fizyka, sem. II.
14.00. TTR, RTSŚ — chemia, sem. II.
14.30. Telewizja w sprawie miliardów.
15.30. NURT — język polski.
16.00. Dziennik Telewizyjny.
16.15. Obiektyw.
16.30. „Michałki".
17.10. Dom i My.
17.30. Puchary Europy w piłce nożnej.
18.50. „Kapeluszowe miasteczko".
19.00. „W świecie dzikich zwierząt".
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. Program publicystyczny.
21.00. „Trzy obrazy" — widowisko pantomimiczne.
21.40. Puchary Europy w piłce nożnej.
22.50. Dziennik Telewizyjny.
23.05. Telewizja w sprawie miliardów.
PROGRAM II
10.00. „Kapiel" — film obyczajowy.
11.00. Kosmos 1981.
16.35. Język angielski dla zaawansowanych (2).
17.00. Język angielski (27).
17.30. Język niemiecki (27).
18.00. „Kąpiel" — węgierski film obyczajowy.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. Kosmos 1981.
21.30. 24 Godziny.
21.40. Kosmos 1981.

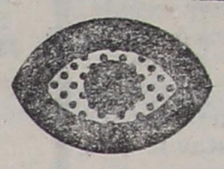

Łomża, kino „Październik": 16—17 IV — „W biały dzień", prod. pol. (od lat 15); 18—21 IV — „Superpotwór", prod. jap. (bez ograniczeń); 22—24 IV — „Zamach stanu", prod. pol. (od lat 15).

Ciechanowiec, kino „Meteor": 16—17 IV — „Strach nad miastem", prod. franc. (od lat 18); 18—19 IV — „Drzwi w drzwi", 21—22 IV — „Zemsta różowej pantery", prod. ang. (od lat 12).

Grajewo, kino „Relax": 16 IV — „We władzy ojca", prod. włosk. (od lat 18); 17—18 IV — „Brawurowe porwanie", prod. USA (od lat 18); 19—20 IV — „Siedem dni stycznia", prod. hiszp. (od lat 15); 21—22 IV — „Gorączka sobotniej nocy", prod. USA (od lat 15).

Jedwabne, kino „Oaza": 16 IV — „Tak szalona, że może zabić", prod. franc. (od lat 15); 18—19 IV — „Dyrygent", prod. pol. (od lat 15); 22—23 IV — „Bitwa o Midway", prod. USA (od lat 12).

Kolno, kino „Wrzos": 16—17 IV — „Niespodziewana kariera", prod. bułg. (od lat 15); 18—19 IV — „Powrót Mechagodzilli", prod. jap. (od lat 12); 20—22 IV — „Pierwsza miłość", prod. włosk. (od lat 18).

Nowogród, kino „Ziemowit": 18—19 IV — „Miłość Adeli H.", prod. franc. (od lat 15); 21—22 IV — „Nauczyciel", prod. kub. (od lat 12).

Stawiski, kino „Saturn": 16—17 IV — „Szalone dni", prod. jug. (od lat 18); 18—19 IV — „Dick i Jane", prod. USA (od lat 15); 21—22 IV — „Ogień pod pokładem", prod. NRD (od lat 15).

Wysokie Mazowieckie, kino „Wars": 16 IV — „Panowie dbajcie o żony", prod. franc. (bez ograniczeń); 17—18 IV — „Wizja lokalna 1901", prod. pol. (od lat 15); 19—20 IV — „Aż rozłączy nas śmierć", prod. NRD (od lat 18); 21—22 IV — „Manhattan", prod. USA (od lat 18).

Zambrów, kino „Kosmos": 16—18 IV — seanse zamknięte; 19—20 IV — „W mroku nocy", prod. USA (od lat 18); 21—22 IV — „Niewinne", prod. włosk. (od lat 18).

Kierownictwo kin zastrzega możliwość zmian programu.

Miejsko-Gminny Dom Kultury w Grajewie: pogadanka inaugurująca cykl codziennych pogadanek z zakresu prawa i aktualnych problemów społeczno-politycznych, 22 IV, godz. 11.00.

Miejsko-Gminny Osrodek Kultury w Rajgrodzie: otwarcie zielonego karnawału na dyskotece wiosennej, w programie m.in. koncert poezji wiosennej, 20 IV, godz. 18.00; wystawa prac kółek zręcznych rąk pod hasłem „Lubię majsterkować", we wszystkich placówkach ko. na terenie gminy.

Klub Turystyki Rowerowej „Tropiciele" przy Zarządzie Oddziału PTTK w Łomży zaprasza wszystkich miłośników turystyki kolarskiej do udziału w „Imieninowym rajdzie prezesa" — dwudniowej imprezie turystycznej z licznymi konkursami, grami i projekcją przeźroczy o tematyce krajoznawczej. Trasa rajdu wiedzie — trzema szlakami — do Nowogrodu. Wyjazd w sobotę, 25 IV, o godz. 15.00, spod ZO PTTK w Łomży, ul. Giełczyńska 1; powrót — w niedzielę, 26 IV, około godz 14.00. Uczestnicy rajdu proszeni są o zabranie z sobą materaców oraz śpiworów lub koców. Wyżywienie we własnym zakresie. Zgłoszenia oraz wpisowe w wysokości 60 złotych przyjmuje ZO PTTK do dnia 23 IV.

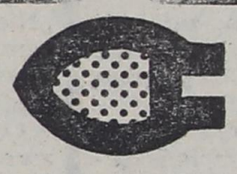

Galeria Twórczości Plastycznej Dzieci, ul. Marii Skłodowskiej-Curie 5 (Szkoła Podstawowa nr 3), czynna codziennie — oprócz niedziel i dni świątecznych — w godz. 8.00—18.00, w soboty w godz. 8.00—15.00: „Ludzie i zwierzęta" — pokonkursowa wystawa prac plastycznych dzieci z konkursu organizowanego przez Muzeum Rolnictwa w Ciechanowcu.

Salon Wystawowy BWA, ul. Armii Czerwonej 19 (czynny codziennie — oprócz poniedziałków i dni poświątecznych — w godz. 12.00—18.00 w soboty i niedziele w godz. 13.00—16.00): malarstwo Zbigniewa Kruszewskiego — wystawa 36 obrazów artysty-plastyka z Łomży.

Muzeum Okręgowe w Łomży, ul. Krzywe Koło 1, czynne codziennie (z wyjątkiem poniedziałków, wtorków i dni poświątecznych): w środy i piątki w godz. 10.00—18.00, w czwartki i soboty w godz. 10.00—16.00, w niedziele w godz. 11.00—17.00. Wystawy: „Nabytki Muzeum w latach 1975—1980" — wystawa najciekawszych eksponatów z różnych dziedzin kultury materialnej; „Bursztyn z dorzecza Narwi środkowej" — wystawa ze zbiorów własnych prezentująca wydobywanie, obróbkę oraz wyroby z bursztynu.

Park Etnograficzny Północno-wschodniego Mazowsza im. Adama Chętnika w Nowogrodzie, czynny codziennie (z wyjątkiem poniedziałków i dni poświątecznych) w godz. 9.00—16.00. Wystawy: 1) Wnętrza chat, kuźni, olejarni z wyposażeniem, izba tkaczki-artystki ludowej Anny Kordeckiej, śpichlerek z wystawą obrazującą przemiał i przechowywanie zbóż, stodołka ze starym, drewnianym kieratem i narzędziami bartnymi. 2) W Dworku z Brzózek wystawa archeologiczna — „Pradzieje Nowogrodu". 3) W chacie z Baranowa wystawa „Adam Chętnik — życie i działalność".

Muzeum Rolnictwa im. Krzysztofa Kluka w Ciechanowcu, czynne codziennie (z wyjątkiem poniedziałków i dni poświątecznych) w godz. 8.00—16.00, w niedziele i święta w godz. 11.00—19.00. Wystawy stałe: 1) „Dzieje rolnictwa" (techniki uprawy, pasterstwo, hodowla, rzemiosło, tkactwo ludowe), 2) Wystawa biograficzna Krzysztofa Kluka 3) Skansen mazowiecko-podlaski z ekspozycją wnętrz. 4) Regionalna Izba Pamięci Narodowej. Wystawa czasowa: malarstwo Jana Kulikowskiego.

Ogłoszenia drobne

SZCZĘŚLIWIE kojarzy małżeństwa Biuro Matrymonialne „Mazury" Olsztyn 2, skrytka 336.
k 604-0

BIURO Matrymonialne „Piast" — poleca usługi. 84-300 Lębork, skr. pocz. 22.
p 532-1

„PRAKTICĘ" DTL-3 nową — sprzedam. Janowski. Łomża, tel. 31-56.
Łg 3065-1

„SYRENĘ" 105 — sprzedam. Łomża, ul. Wojska Polskiego 161 a m 6, tel. 42-11 wew. 181.
p 556-00

WOJEWÓDZKIE PRZEDSIĘBIORSTWO BUDOWNICTWA KOMUNALNEGO w Łomży

z a t r u d n i

- **inżyniera lub technika budowlanego,** posiadającego uprawnienia budowlane na stanowisko kierownika Zakładu Budowlano-Montażowego,
- **inżyniera budowlanego** na stanowisko specjalisty d/s Kontroli Jakości.

Warunki do omówienia w siedzibie przedsiębiorstwa: Łomża, ul. Świerczewskiego 143, tel. 33-15. k 1086-1

ZARZĄD „SPOŁEM" WOJEWÓDZKIEJ SPÓŁDZIELNI SPOŻYWCÓW w Łomży

z a t r u d n i n a t y c h m i a s t

GŁÓWNEGO ENERGETYKA — wymagane wykształcenie wyższe techniczne, kierunek energetyczny bądź wykształcenie średnie techniczne o kierunku jak wyżej plus uprawnienia SEP (w obu wypadkach wymagagane).

Warunki pracy i płacy do uzgodnienia w Dziale Spraw Pracowniczych „Społem" WSS w Łomży, ul. Buczka 4, tel. 26-60. k 982-1

Łomżyński tygodnik społeczny pismo PZPR **REDAGUJE ZESPÓŁ:** Stanisław Zagórski — redaktor naczelny, Stefania Henczelowa — zastępca redaktora naczelnego, Nina Omelczenko — sekretarz redakcji, Lech Gizelbach Wiesław Kołowski, Juliusz Świredo, Danuta Wroniszewska, Aleksander Wroniszewski, Redaktor techniczny — Zbigniew Henczel Korekta — Elżbieta Słupska **STALE WSPÓŁPRACUJĄ:** Andrzej Kozlara, Kleniens Krzyżagórski, Jan Kulka, Piotr Kuncewicz, Marek Kusiba, Tadeusz Mocarski, Franciszek Piątkowski, Tomasz Piotrowski, Zbigniew Siedlecki, Andrzej Tchórzewski — Marek Goebel **ADRES REDAKCJI:** ul. Sadowa 10 18-400 Łomża Tel 34-95, 40-22, telex — 853249. **WYDAWCA:** RSW „Prasa Książka-Ruch" Białostockie Wydawnictwo Prasowe w Białymstoku Druk Białostockie Zakłady Graficzne. Zam. 633/81 r. Nakład 26 200 A-2. PL ISSL 0208-6840 — Nr indeksu 36328. Ogłoszenia przyjmuje: Biuro Reklam i Ogłoszeń Red tyd. „Kontakty" 18-400 Łomża, ul. Sadowa 10, tel. 34-95 40-22 oraz wszystkie biura ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch" na terenie całego kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności.

KONTAKTY

POKUSY
pod redakcją Andrzeja Koziary

MINI-KABARET

PIEKIEŁKO

PRZEDSTAWIA DRAMAT ADMINISTRACYJNY

DIABELSKIE OBRACHUNKI

Tak na dobrą sprawę, to wszystko jedno w jakiej sytuacji znajdują się cztery nasze znajome diabły: ob. ob. Biebrzański, Bużański, Dojlicki i Narwiański. Tylekroć znajdowały się już w sytuacjach dziwacznych, a nawet dramatycznych, że dziś właściwie każde ich położenie można uznać za, jeśli już nie naturalne, przynajmniej zrozumiałe, a nawet oczywiste.

Złośliwi sublokatorzy łomżyńskich pulw dzięgdzionie, mutrępty i kazagłaby, są nawet zdania, że dziś już strach się bać. Naszych czterech bohaterów zastajemy w humorach takich sobie.

NARWIAŃSKI: No, tak, mamy, cośmy chcieli.

BUŻAŃSKI: A jest wśród nas taki, który wie, czegośmy chcieli?

DOJLICKI: Zawsze byliśmy zdania, że im bardziej, tym bardziej, a im gorzej, tym lepiej.

BIEBRZAŃSKI: Sraty taty, dupa w kraty. Nawet z głupim wykończeniem Biebrzy są obiektywne kłopoty...

NARWIAŃSKI: Poczekaj, gamoniu, niech no tylko duża woda opadnie, a wszystko wróci do normy.

DOJLICKI: Czasami odnoszę wrażenie, że wówczas nas wszyscy diabli wezmą.

BUŻAŃSKI: No, jeśli nie wszyscy, to przynajmniej pewne określone elementy, których imion i nazwisk nie jestem w stanie wymienić, bo aż mnie na womity zbiera. Co za niegodziwcy. Takie zostawiliśmy im wskaźniki, a wdzięczność widać gołym okiem.

Taki jeden mój drobny pomagierek, to na własnej, hm... jakby to powiedzieć, skórze odczuwa niektóre przejawy tej wdzięczności.

DOJLICKI: Ciekawe, w jaki sposób?

BUŻAŃSKI: Takie toto było byle co, ale wierne, to go wziąłem i na dyrektora postawiłem...

DOJLICKI: No i co?

BUŻAŃSKI: Cholery wzięły go i na taczkach wywieźli.

BIEBRZAŃSKI: Taka teraz moda zapanowała i my powinniśmy się do niej dostroić, a nawet stanąć na czele i przejąć inicjatywę.

NARWIAŃSKI: Może kolega doda, żeby wyłaniać z ramienia i stawiać na czole?

BIEBRZAŃSKI: Na czole to ja mogę koledze postawić znak zapytania.

DOJLICKI: Cicho. Tak á propos to właśnie mam pytanie i odpowiedź. Czy nie możemy się rozejrzeć wkoło i coś zarządzić? Możemy. Proponuję dokonać powszechnego przeglądu naszych kadr. Może się uda kogoś urządzić na perłowo i postawić pod pręgierzem tak zwanej opinii diabelskiej.

BUŻAŃSKI: Już was widzę urządzonego na perłowo i postawionego pod pręgierzem.

DOJLICKI: No, hmm, tego... Nie siebie miałem na myśli.

NARWIAŃSKI. Prowokator jest między nami, szukajcie go sami, karramba!

BIEBRZAŃSKI: Należy dać zdecydowany odpór. Teraz właśnie trzeba szczególnie zewrzeć szeregi, a ofiar szukać w innych koleżeńskich gronach.

NARWIAŃSKI *(nadyma się strasznie, unosi z tego powodu metr nad ziemią i zaczyna przemawiać):* Koledzy diabłowie! Czasy nastały szczególne. Nie twierdzę, że jesteśmy bez winy. Jesteśmy winni niektórym wypaczeniom. Powinniśmy się uderzyć szczególnie mocno i skutecznie, szczególnie *(grzmi, a nie mówi)* mocno w cudze piersi. Bijmy je. Walmy w nie. Każde uderzenie jest dobre. Kto nas do tego zmusza?

BUŻAŃSKI *(przerywa):* Ten, co się źle rusza. Zamknij mordę, bo jeszcze ktoś usłyszy.

NARWIAŃSKI *(nie zmieniając tonu):* A właśnie, niech usłyszy, że głośno umiemy krzyczeć. Nie w takich opresjach bywaliśmy i jakoś to było.

BUŻAŃSKI: Powiadam, zamknij mordę, bo tak ci ją skuję, że nie otworzysz chałapy przez cały plan trzyletni. Koledzy, brać go!

Trzy diabły solidarnie rzucają się na rozhisteryzowanego Narwiańskiego. Wpychają mu w pysk diabelskie pazury, a po chwili jego własny ogon z nadzieją, że się nim udławi. Ten, przerażony, wyje diabelskim głosem i pachnie coraz gorzej, już nie tylko siarką i smołówką.

WIESŁAW TOMASZEWSKI

DIABEŁ

To jest zupełnie nieudany diabeł. Choćby ogon. Nie długi, mięsisty z czarnym pędzlem włosów na końcu, ale mały, puszysty i zabawnie sterczący jak u zajączka. Skórę ma różową, tylko pod lewą łopatką znamię wielkości dukata. Ale najgorsze są rogi. Nie rosną na zewnątrz jak u innych diabłów, ale wewnątrz, w mózgu. Dlatego tak często cierpi na ból głowy.

Jest smutny. Całe dnie śpi. Nie pociąga go ani zło, ani dobro. Kiedy idzie ulicą, widać wyraźnie, jak poruszają się jego różowe skrzydła płuc.

ZBIGNIEW HERBERT

PAMIĘTAJ, ŻE OGON — CHOCBY NIE WIEM JAK WYGLĄDAŁ — JEST POŁĄCZONY Z GŁOWĄ. (przysłowie filipińskie)

UBEZPIECZENIE

Ojciec Theodoric de Jong, księgowy diecezji w Spokane, w stanie Waszyngton, jest przerażony: w polisie ubezpieczeniowej, wykupionej zbiorowo przez 66 kapłanów z jego diecezji w firmie ubezpieczeniowej „Niebieski Krzyż", figuruje suma 30 centów od kapłana (miesięcznie) jako ubezpieczenie na wypadek pobytu w szpitalu położniczym.

Ojciec księgowy, domagając się zwrotu sumy, twierdzi, że w tym przypadku trzeba by podwójnego cudu...

TŁO MUZYCZNE

„Smierć i horror" — płytę pod takim tytułem oferuje za dwa i pół funta jedna z firm brytyjskich. Prospekt reklamowy mówi, że na płycie, na tle mlaskania i charczenia, nagrano chrzęst kości odrąbywanej ręki, odpiłowywanej głowy; łamanej szyi. Londyński „Guardian" poleca płytę jako tło muzyczne dla audycji telewizyjnych poświęconych dyskusjom politycznym.

25 SZCZURÓW

W jednym z okręgów Jawy miejscowe władze wydały rozporządzenie, zgodnie z którym mężczyźni zamierzający się ożenić muszą najpierw dostarczyć 25 zabitych szczurów. Bez ich okazania — małżeństwa nie udziela się. Powodem decyzji jest plaga szczurów.

PRZYCIERANIE ROGÓW...

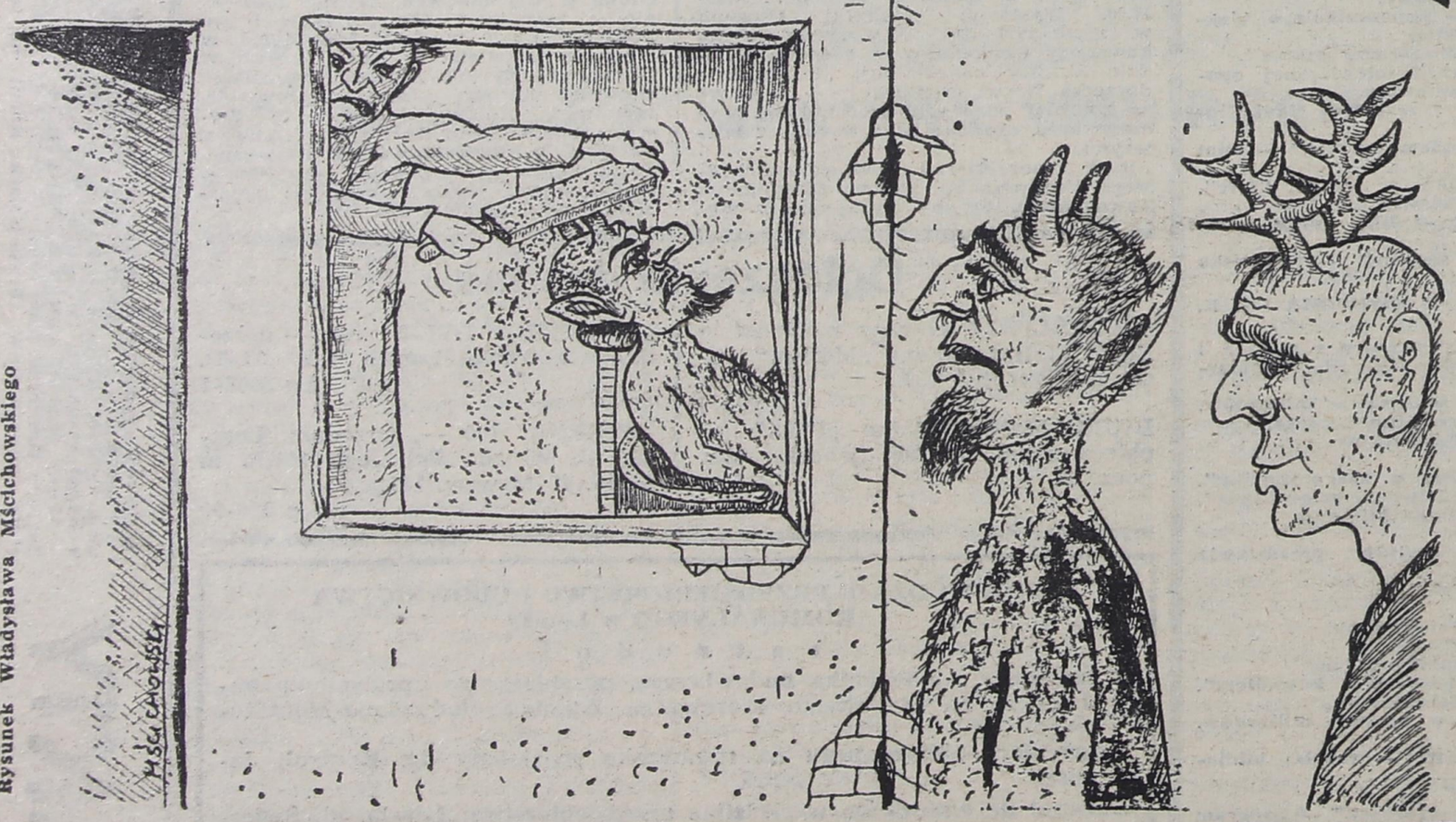

Rysunek Władysława Mścichowskiego

ZIEMSCY WENUSJANIE

Sekta wenusjańska, z siedzibą w Seattle, domaga się odszkodowania od władz miejskich w wysokości 10 mln dolarów za straty moralne, jakie poniosła w wyniku aresztowań jej członków przez policji. Przełożeni sekty twierdzą, że materiały erotyczne — filmy, slajdy i przedstawienia „na żywo" — udostępniane w świątyni, to środki służące przekazywaniu wiernym zasad wiary.

NÓŻ

W Krakowie skradziono nóż eksponowany w Sukiennicach jako bratobójcze narzędzie, którym jeden z budowniczych zarżnął drugiego (brata) z powodu zazdrości, że wieża budowana w Kościele Mariackim przez tamtego jest większa i wspanialsza. Nie jest to pierwszy wypadek kradzieży, ale tym razem władze miejskie nie są w stanie uzupełnić ubytku — brak noży.

DIABEŁ PRZEZORNY

Zawsze ma w planie
Anielskie granie

O PEWNYM DIABLE

Skompromitował siebie
Etatami w niebie

EPOKA NA OPAK

Diabłu święty
Prawi komplementy

ZBIGNIEW WAYDYK

PAMIĘTNIK ADAMA

NASTĘPNEGO ROKU. Złowiła je, gdy zakładałem sidła na północnym brzegu jeziora Eire; złapała je w lesie, w odległości paru mil od naszego szałasu. Nie pamięta dokładnie, gdzie. Ewa sądzi, że pod pewnymi względami to stworzenie przypomina nas i być może jest naszym krewnym.

Ale według mnie nie ma racji. Różnica wielkości nasuwa przypuszczenie, że jest to odmienny, nowy rodzaj zwierzęcia — być może ryba, choć gdy włożyłem je do wody, by się o tym przekonać, poszła na dno. Ewa zanurzyła się i wyłowiła je, nim doświadczenie zdołało rozstrzygnąć to pytanie. Nadal sądzę, że to ryba, lecz Ewa nie dba o to, czym ono jest, i nie pozwala mi więcej przeprowadzać tego rodzaju prób. Nic nie rozumiem. Wydaje mi się, że pojawienie się tego stworzenia odmieniło jej usposobienie i pozbawiło rozsądnego podejścia do doświadczeń. Więcej myśli o tym stworzeniu niż o innych zwierzętach, choć nie potrafi wytłumaczyć, dlaczego. Wszystko wskazuje na to, że zupełnie straciła dla niego głowę. Czasem ryba skarży się, bo chciałaby być w wodzie, a wtedy Ewa nosi ją pół nocy na ręku, i woda wypływa z miejsc na jej twarzy, którymi patrzy; głaszcze rybę po grzbiecie, a wargi jej wydają pieszczotliwe, uspokajające dźwięki Na sto różnych sposobów daje dowody swego zaniepokojenia i troski. Nigdy dotąd nie widziałem, by się tak zachowywała w stosunku do jakiejkolwiek ryby, i bardzo mnie to niepokoi. Zanim straciliśmy naszą posiadłość, nosiła czasem w ten sposób młode tygrysiątka bawiąc się z nimi, lecz była to tylko zabawa i nigdy tak się nimi nie przejmowała, jeśli nie służyło im jedzenie. (C.D.N.)

MARK TWAIN

POKUSY
organ samoistny